KLEMENSA JUNOSZY

CZARNE BŁOTO

PAJĄK WIEJSKI



[illegible]

CZARNEBŁOTO

PAJĄKI WIEJSKIE

KLEMENS JUNOSZA

CZARNEBŁOTO

PAJĄKI WIEJSKIE

POWIEŚĆ

TOM DRUGI

BIESIADA LITERACKA

Warszawa. — Druk Synów St. Niemiry, plac Warecki № 4.

ROZDZIAŁ I,

w którym mowa o spotkaniu Rokity z Wasążkiem, o bransolecie z brylantem, tudzież o różnych gatunkach grzybów.

Było chłodno, deszcz chlapał, świat wydawał się szary i smutny; zboża z pól już sprzątnięto, tylko rżyska szczotkowato na roli sterczały, lub szarzyły się świeże podorywki i czerniły łęciny niewykopanych kartofli. Gdzieniegdzie gromadka bydła się pasła pod dozorem dzieciaka, z głową workiem okrytą.

Gościńcem, na którym od deszczu kałuże się porobiły, jechał wierzchem, na małej szkapinie, Rokita. Zwiesił głowę i w zadumę zapadł, aż go z niej zbudził tętent kłusującego konia.

Obejrzał się i w jeźdźcu poznał Wasążka.

Szlachcic siedział na szkapie swej z fantazyą, kaptur od burki miał na głowie, a przepasany był krajką zieloną.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.

— Na wieki! — odpowiedział Rokita. — A dokąd to pan Walenty w taki deszcz?

— Ha! mój bracie, potrzeba na mokrość niezważa.

— Juści prawda.

— Ja-bo, widzisz, do Kopytkowa, do rejenta; wypis muszę wyjąć, bo mi do sprawy potrzebien.

— Ochota panu Walentemu za temi sprawami wciąż jeździć.

— A co mam sobie żałować?

— Ja jedną sprawę tylko miałem i życie mi już obrzydło.

— Z kim?

— Z Chasklem.

— Ach, to już była sprawa? I jakże?

— Przegrałem, panie Walenty; każą jakieś koszta płacić; wójt mówił, że mi chałupę opiszą, bydło z obory wyprowadzą... albo ja wiem? Ja nie uczony, nie piśmienny, stałem, jako słup, a Żyd gębę rozpuścił, aż sędzia dzwonił na niego i krzyczał, żeby nie trajkotał.

— I cóż ty, biedaku, teraz zrobisz?

— Bo ja wiem? Radziłem się ławnika; powiada: niema co, bracie, zagódź, daj mu coniebądź, niech czeka.

— No?

— Chodziłem do Żyda: twardy, psia kość, jak kamień; powiada, żeby mu pieniędzmi trzydzieści rubli na stół kłaść, i owsa, jak jeno omłócę, pięć korcy dać, i po okowitę dla niego jeździć... Jeszcze różne dziwne rzeczy przykazywał!

— No, no...

— O owies bajki: mam w stodole, omłócę i oddam; furmanek dziesięć po okowitę chce, odjeżdżę; ale pieniędzy, co nie mam, to nie mam. Byłem w Czarnembłocie, przepytywałem między Żydy.

— Nie dają?

— Ani weź. Słuchać nawet nie chcą.

— Znam ja ich, mój bracie: jak nie potrzeba, to sami proszą, a jak ci pilno, to i siekierą nie urą-

biesz. Oni spekulują i kręcą, a gospodarze na psy schodzą...

— A jużci, że na psy...

— I znowuż jedziesz szczęścia próbować, Michale?

— A tak...

— Myślisz, że dadzą?

— Dać nie dadzą, ale jednemu, właśnie Berkowi, co Chaskla szwagier jest, koń mój się udał.

— Który?

— A właśnie ten, co na nim siedzę.

— Kupić chce?

— Dyć. Kazał go sobie na dzisiejszy dzień przyprowadzić.

— Ciekawość, siła też daje?

— Trzydzieści rubli obiecuje.

— Hę? Trzydzieści?

— A juści.

— Ależ ten koń, chociaż i nieduży, brat bratu, pięćdziesiąt wart!

— I jak tak myślę! Na wiosnę kopytkowskie Żydy dawały mi za niego pięćdziesiąt dwa ruble i złotych cztery bez dziesiątki, ale nie miałem chęci sprzedać. Choć gospodarstwo moje biedne, ale parę koni utrzymuję, według furmanek.

— Ma się rozumieć, furmanka dobra rzecz. A jeżeli konia sprzedasz, to ci, braciszku, będzie z jednym nijako...

— Pewnie, ale cóż mam robić? Może się jako wspomogę ku zimie, może jałówkę sprzedam i wieprzaka, to konia kupię, a tymczasem muszę Chasklowi dać, co żąda, bo inaczej mnie zniszczy. Pytałem ludzi wiedzących i piśmiennych, czy można tak człowieka żyłować, jak on mnie żyłuje; powiadają, że można. I dlaczego można? A oni, te wiedzące i piś-

mienne, śmieją się tylko i powiadają: Czemuś podpisywał? Byłeś głupi — cierp teraz!

— I cierpisz, biedaku, — rzekł ze współczuciem Wasążek.

— A cierpię, panie Walenty, cierpię. Ni ja jedzenia, ni ja spania, ni pomyślenia żadnego. Pracuję, aż we mnie gnaty trzeszczą, zabiegam, jak mogę i cóż stąd?... Abym jeno grosz jaki miał, zaraz oddaj mu — i oddaję, a precz jestem winien i końca temu nie widać. I żebym to choć wziął, żebym do ręki dostał, toby nie żal było. Wiedziałbym, że cierpię, bom winien, że muszę oddać, bom wziął, muszę zapłacić, bo się należy. Ale, panie Walenty, przysięgnę na zbawienie duszy, z czystem sumieniem, że części tych pieniędzy nie dostałem, które mi teraz płacić każą, a to, com wziął, oddałem już w dubelt pieniędzmi, zbożem, odrobiłem, odsłużyłem. Nie siła lat, jak on przyszedł do wsi obdarty, a we wsi gospodarze byli zasiedziali, spokojni i niejeden trochę grosza miał leżącego; dziś on pieniądze ma, na duże handle się puszcza, a połowa gospodarzy na dziady schodzi. Jedni porozpijali się ze zmartwienia, inni chodzą, w ziemię patrząc, jakby im kto na łbach wielkie kamienie pokładł. Oj, źle, panie Walenty, źle na świecie...

Wasążek westchnął, a chłop, rozgadawszy się, nie ustawał, rad, że ma się przed kim użalić.

— Już ja, panie Walenty, medytowałem, medytowałem, a nic wymedytować nie mogłem i obrotu sobie żadnego dać nie mogę. Raz mi złe jakieś nagadywało, żeby albo postronek, albo w wodę...

— Eh, eh! To nie rzecz, mój Michale, duszę na zgubę wiekuistą dać.

— Nie rzecz... nie rzecz... nie godzi się i grzech, ale kiedy coś gada, a namawia, jak żywe. Raz w po-

lu byłem i tak mnie precz męczyło; jeno figura na miedzy stała, Męka Pańska... krzyż święty... i zbudziło się we mnie sumienie, i cisnęło mnie na kolana... i począłem ryczeć z żałości, aż się we mnie coś obrywało we środku, i wiłem się, jak robak, pod onym krzyżem, i w prochu się tarzałem, zmiłowania proszący... I zelżyło mi jakoś, żem przez kilka dni spokojniejszy chodził, i jakoby lepszy we mnie duch wstąpił, spodziewanie jakieś, że może odmiana nastanie... A było tak dwa dni, może trzy, aż raz spotkałem go wieczorem...

— Chaskla?

— Tak. Szedł przez wieś, a pyszny był taki, z góry stąpał, z góry patrzył. — Hej — woła — ty Michał, jutro masz raniutko z furmanką do mnie przyjechać! „Ty, Michał!“ Sługa ja jego, czy co? Taka mnie ogarnęła mankulia, taki jankor, że aż mi się krwawo we ślepiach zrobiło, zacisnąłem jeno pięści, alem jakoś umilkł, a on poszedł sobie do licha.

— I na drugi dzień byłeś, bracie, z furmanką?

— Byłem, po okowitę mnie posyłał do gorzelni. Ciężar duży, droga krwawa, błoto osiami się garnęło, ale przywiozłem.

— Zapłacił ci chociaż?

— Ale, zapłacił! Powiedział, że jemu się należy, obiecał, że trochę mi ulży i nie będzie się upominał ze dwa tygodnie, abym jeno jeszcze kilka razy do jego gorzelni pojechał. W pańszczyźnie u niego jestem poprostu, tylko nie wiem, siła dni odrabiać, bo coraz to zawoła. A we stodole mojej on, jak we swojej: co sobie każe dać, trzeba dać i jeszcze w swoim worku, na własnych plecach mu zanieść; a uda mu się cielę — oddaj mu cielę, podoba się kokosza — oddaj kokoszę. Miała moja kobieta dwanaście gęsi, to siedm za psie pieniądze kupił, a pięć za-

brał za procent. Gruntu nie mam dużo, a muszę dla niego cały zagon pod kartofle dawać, też jako niby za procent, a i zaorać ten zagon, kartoflami swojemi zasadzić, oborać, wykopać i odwieźć do domu, to niby znów za jego grzeczność i czekanie.

— Za jakie czekanie? Toć wziął procent!

— I ja mu tak mówiłem, ale on ma inszą kalkulacyę. On powiada, że to niby za to czekanie i za tę grzeczność, co od posadzenia kartofli do ukopania...

— Niechże go kolki!

Rokita zwiesił głowę, a po chwili zagadnął Wasążka:

— Panie Walenty...

— Cóż?

— Dyć od wódki bywa człowiek pijany, a od wody nie?

— Także się Michał pyta! Toć małe dziecko wie, że prawda.

— Oj, nie, panie Walenty, nieprawda to, nieprawda.

— Cóż znowu?

— Jednego dnia, też przez tego Chaskla, żałość mnie zdjęła; huk mi się we łbie zrobił, i w gardzieli paliło, i język zesechł, jak kołek. Poszedłem do studni, wyciągnąłem wiadro wody i jakem się do niego przypiął tom pił, pił bez pomiarkowania, jak nieprzymierzając koń. I w gorącość mnie zaraz wrzuciło, świat się koło mnie kręcił i zataczałem się tak, żem ledwie do chałupy trafił. Zaraz na progu baba poznała, żem pijany i ożogiem mnie po łbie raz i drugi.

— Oho! ostra kobieta...

— A jużci. I nie broniłem się nawet, bom umiarkował, że prawda. Mówię: owszem, wal, Kasiu, jagodo, bom sprawiedliwie pijany. Padłem na

posłanie, jak kłoda; kobieta, choć prędka, ale miłosierna, przykryła mnie kożuchem i tak przeleżałem dwa dni i dwie noce.

— Od wody?

— Od wody... I potem, jakiem już otrzeźwiał, to jeszcze drugie dwa dni chodziłem, jak potłuczony, że mi przy robocie wszystko z garści leciało, a głupiego kloca nie mogłem podźwignąć.

— Osobliwa rzecz.

— Osobliwa, panie Walenty, żeby tak od wody...

— Może kto co wrzucił do studni szkodzącego?

— A nie, toć i ludzie tę wodę piją i konie się poi i bydło, a przecież nie szkodziło.

— Prawdziwie, że pierwszy raz słyszę o takim wypadku.

— Niech-no pan Walenty posłucha o drugim.

— No?

— W Czarnembłocie to było, na targu. Zeszliśmy się we trzech: Piskorz Jan z Ciepłej Woli i Podsiadło Bartłomiej z Koziołków, też takie biedaki, jak ja, zmarnowane. Piskorz swojemu Żydowi zaprzedany, Podsiadło swojemu. Zeszliśmy się przy kieliszku. Gadu, gadu, jeden się użalił, drugi użalił, bo każdemu gorzko. Podsiadło sprawiedliwy chłop, ale na szkło łasy okrutnie, aby flaszkę obaczył, to już jej nie popuśści, aż czyste denko ujrzy.

— Znam ja go, lubi łyknąć.

— Oj, lubi. Jak sobie krzynkę podpił, jak się rozżalił, tak stawia kwartę za kwartą, powiada: zalać robaka! Zalaliśmy tęgo. Wracamy, na Wygodzie — znów. Ja nie chciałem, ale Podsiadło molestował, Piskorz też, zaczęli stawiać. Pijemy. Ja też nie mogłem cudzego pić, a swojego nie dać, wysypałem tedy garść koprowiny, co było jeszcze w kalecie. Pijemy na umor, bo Podsiadło wciąż dogadywał

o tym robaku, żeby go utopić, a po prawdzie panu Walentemu powiadam, że w tej gorzałce, cośmy ją we trzech wypili, nietylko robak, ale i spore prosięby mogło utonąć.

— Spiliście się pewnie, jak nieboskie stworzenia?

— Oni całkiem. Piskorza na swój wóz wziąłem, bo mi po drodze było i odwiozłem go do chałupy, a Podsiadło został w karczmie, jak nieżywy i dopiero na drugi dzień wieczorem się przebudził...

— A jakże z wami, Michale?

— Nic, panie Walenty. Przyjechałem do domu trzeźwiuteńki, kobieta nawet nie poznała, żem co pił.

— Ha! tęga głowa.

— I to nie. Czasem od dwóch półkwaterków mnie z nóg zetnie.

— No, no?

— To musi, panie Walenty, wszystko tak z frasunku. Oj, źle na świecie!

— Źle. Ale czy ci się zdaje, że to tylko tobie? Pójdźno pomiędzy ludzi, posłuchaj. Widzisz, ja na ten przykład, choć piśmienny jestem i kodeksy znam na wylot, a przecież mnie Chaskiel z Joelem tak trapią, jako i ciebie.

— I może on pana Walentego tak samo z chałupy wyrzucić?

— Oj, oj! Tylko ze mną trochę trudniej.

— Trudniej?

— Ja piśmienny; ode mnie on takich papierów nie wycygani, jak od ciebie, bo ja wiem, czem to pachnie. Po drugie, że i do sądu jak przyjdzie, to ja nie stanę, zapomniawszy w gębie języka, ale wiem, co i jak gadać. Niewiele to można wygadać, skoro stoi czarne na białem, ale zawsze już Żyd nie jest ta-

ki śmiały. On się trochę boi, boć ma różne sprawki na sumieniu, a jak to powiadają: na złodzieju czapka gore. On wie, że Wasążek gębę ma nie od parady i może powiedzieć co szkodzącego. Ale to, mój bracie, niewiele znaczy, odwłoka tylko na jaki czas, a jeżeli Żyd zechce dobrze dusić, to i zdusi. Wszyscy my, mój Michale, na takim wózku jedziemy, a jak ty teraz prowadzisz konia na zmarnowanie, tak ja zeszłego miesiąca zmarnowałem krowę. Na procencik to poszło, na procencik.

— I kto to, panie Walenty, takie łajdactwo wymyślił?

— Jakie łajdactwo?

— A no, ów procent.

— Któżby, ma się rozumieć, Żydy.

Droga rozchodziła się. Rokita do Czarnegobłota w prawo miał zwrócić, Wasążek zaś do Kopytkowa wprost.

— No, bywaj zdrów, Michale — rzekł szlachcic. — A nie dopuszczaj sobie bardzo do głowy. Bóg miłosierny. Będzie lepiej, jak złe minie.

— Bądźcie zdrowi, panie Walenty, jedźcie z Bogiem.

W kilka godzin później Rokita wychodził z miasteczka pieszo. Koń został u Chasklowego szwagra, a otrzymane trzydzieści rubli miały być złożone, jako okup, za pewien czas spokoju.

Na tym to czasie duże chłop sobie nadzieje budował. Myślał o tem, że w spokojności zarobi, że trochę zboża omłóci, krowę sprzeda i wspomoże się na kupno drugiego konia.

Tak rozmyślając, szedł ku swej wiosce, przyspieszając kroku, aby jeszcze zdążyć przed nocą.

Pod „Zielonym łabędziem“ pani Małka przyjmowała gościa. Przyjechał dzierżawca z Zatraceń-

ca, bohater chwili, o którego majątku mówiono już głośno w całej okolicy.

Piękna gospodyni powitała go nader uprzejmie.

— Aj, taki gość, taki gość! Dawno już pana nie widziałam. Co pan tak długo robił w Warszawie.

— A pani tęskniła?

— Dlaczego ja miałam tęsknić? Może tęskniłam, może nie tęskniłam...

— Chciałbym jednak wiedzieć.

— Oh! pan zawsze chce wiedzieć zadużo, pan zanadto ciekawy jest.

— A pani zbyt skryta.

Małka westchnęła i odrzekła po chwili:

— Proszę pana nie można mówić wszystkiego, co się myśli...

— A gdybym bardzo, ale to bardzo prosił?

— Co panu z tego przyjdzie? Czy pan wczoraj powrócił z Warszawy?

— Tak.

— Bardzo się o pana dopytywali.

— O mnie?

— Ach! cała okolica tylko o panu mówi, o pańskiem szczęściu, o pańskim majątku. Mówi i zazdrości i jak zazdrości! Na moje sumienie, pan jest teraz pierwszą osobą w naszych stronach, pierwszym kawalerem. Wszyscy ojcowie, którzy mają córki na wydaniu, dopytują się o pana. Co dziwnego, przecież pan teraz bogacz jest...

Młody człowiek uśmiechnął się kwaskowato.

— Zapewne! — rzekł.

— Oj, panie, bogactwo, to jest wielkie szczęście, my zaraz o tem pomówimy. Tymczasem pan zapewne jest głodny?

— Rzeczywiście.

— Jest szczupak! Jaki szczupak! Mało kiedy może się trafić taka sztuka. Było co widzieć... śliczny kawałek ryby! Niech pan pozwoli do sali, zaraz będzie podane. Wino mam bardzo rarytne, świeży transport. Trafunkowy interes, kupione przy okazyi. Żeby nasz hrabia nie mieszkał zagranicą, tylko tu, w swoich dobrach, zabrałby wszystko to wino co do jednej butelki. On się zna; jego ojciec od mojego dziadka zawsze wino kupował.

Tak zachwalając swój towar, rozwodząc się nad świetną tradycyą o przodkach, którzy z magnatami handlowali i mieli nadzwyczajne delicye w swych piwnicach, pani Małka krzątała się, znosząc talerze i flaszki.

Młody człowiek szybko załatwił się ze śniadaniem i zapaliwszy papierosa, rzekł:

— Teraz musimy uregulować pewien dawny rachunek.

— Owszem, ale który? Przecie panu wiadomo, że my mamy niejeden rachunek, a nawet, prawdę powiedziawszy, wszystkie nasze rachunki są dość dawne. Ale pan zna naszą delikatność, pan wie, że my nie jesteśmy uprzykrzeni ludzie i czekamy czasu.

— Eh! bo pani zaraz o rachunkach!

— Przecież ja nie zaczęłam, pan sam...

— Tak, lecz na te rachunki, o jakich pani myśli, czas jeszcze. Tymczasem, chcę załatwić inne..

— Inne? Czy oprócz rozmaitych mamy jeszcze i inne?

— Czyżby pani już zapomniała, że popsułem bransoletkę?

— Pamiętam — odrzekła z westchnieniem. — Pan lubi czasem robić także żartowanie, co nie wypada... Wtenczas zrobił mi pan szkodę.

— Eh! głupstwo! Kazałem naprawić i bran-

soleta wygląda teraz, jak nowa. Niech się pani przekona.

To mówiąc, wydobył z kieszeni eleganckie pudełeczko i otworzył je. Na tle ponsowego atłasu, świeciła się nowa, dość gustowna bransoletka, ozdobiona kilkoma kamieniami. Małka jednym rzutem oka oceniła, że bransoletka ta trzy razy więcej warta od owej, niby uszkodzonej.

— Cóż? ładna?

— Bardzo ładna! — szepnęła, nachylając się nad pudełkiem, a oczy jej błysnęły. — Bardzo ładna! Pan ma gust. Pański gust, doprawdy! Ale to nie jest moja dawna bransoletka, to nowa...

— Poznała pani?

— Dlaczego nie miałam poznać? Gdzie pan podział tamtę?

— Mam przy sobie.

— Bo widzi pan, ta jest bardzo ładna i elegancka, tamta nie tak ładna i nie tak elegancka, ale jest dla mnie dużo warta, to pamiątka po mojej cioci.

— Więc weź pani obie, będziesz pani miała dwie pamiątki, po cioci i po mnie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! Ja zawsze powiadam, że między dużymi panami poszukać takiego pana, jak pan jest.

— Niech-no pani da rękę; złoto nigdy się tak dobrze nie wydaje w pudełku, jak na ręce pięknej kobiety. Pozwól pani, nauczę, jak się otwiera i zamyka, bo to jest zameczek nowego systemu, francuski.

Pochylili się oboje nad stołem i młody człowiek, wziąwszy rękę pięknej Żydówki, ubierał ją w bransoletę.

Dość długo trwała ta czynność, młody człowiek śmiał się i dowcipkował, piękna Małka spusz-

czała oczy i odpowiadała półsłówkami. Usłyszawszy kroki nadchodzącego Mojsia, cofnęła rękę i rzekła:

— Pan zrobił mi bardzo ładny podarunek, ja panu dziękuję, a oprócz podziękowania, mam jeszcze coś dla pana.

— Co? — zapytał zaciekawiony.

— Ja dużo myślałam o panu i też chcę panu dać śliczny prezent, sam pan przyzna, że coś fajn!

— Naprzykład?

— Ja pana cokolwieczek ożenię.

— Mnie?

— Dlaczego nie? Czy pan nie jest kawaler i jeszcze jaki kawaler? Czysta perła, prawdziwe złoto?... Czy pan nie dostanie żony, bardzo ładnej, edukowanej, bogatej, z posagiem? Owszem, ja panu sama nastręczę i postaram się dopomódz; teraz właśnie najlepszy na to czas. Wszyscy mówią o pańskiej sukcesyi, o pańskim majątku; kto tylko ma córki, bardzo się o pana dopytuje... Jabym radziła korzystać póki czas, póki ludzie pańskiego majątku nie porachują naprawdę.

— Nie rozumiem.

— Proszę pana, nikt nie słyszy, możemy mówić otwarcie. Pan nie wie nawet, jaka ja jestem dla pana życzliwa.

— Czy naprawdę?

— Tak bardzo naprawdę, że pan sobie tego nawet wyobrazić nie może. Właśnie przez to, że jestem taka życzliwa, to znam pańskie interesa, nie chcę powiedzieć, że tak, jak pan, ale dużo lepiej od pana... Do tej pory pan się ledwo trzymał przy dzierżawie...

— No, nie tak ledwie, jak się pani zdaje.

— Co my się mamy bawić w zabawki? Kto

zapłacił ostatnią ratę za pana? Jankiel Bas. Kto kazał mu, żeby on zapłacił? Pan tego nie wiesz... Może ja kazałam, może się nawet do tego przyczyniłam. Janklowi pan dużo winien, Glancman ma u pana także sporo, Dawid Śliwka też; o mnie to już nie mam co mówić. A niech pan porachuje różne drobne dłużki, rachunki po sklepach, to się zbierze bardzo ładne parę rubli...

Młody człowiek zamyślił się i po chwili rzekł:

— Umiesz pani dobrze rachować.

— Ileż razy pan mówił, że ja mam ładne oczy...

— I dziś mogę to samo powtórzyć.

— No, a coby to były za ładne oczy, żeby nie dobrze widziały, a wszystko, co człowiek widzi oczami, da się porachować. Niechno pan posłucha, już jest wielki czas, żebyśmy pomówili otwarcie... Pan się nie obrazi?

— Owszem, mów pani.

Usiadła przy stole, bardzo blizko młodego człowieka, pochyliła się ku niemu i mówiła prawie szeptem:

— Ja dobrze wiem — i pan wie i jeszcze jest kilku takich ludzi, co wiedzą, że gdyby nie sukcesya, pan byłby już dziś bankrut... Bardzo grzeczny, elegancki i przyjemny bankrut, ale... bankrut.

— Dziękuję za komplement!

— Niema za co. Nasze Żydki przestaliby dawać panu pieniądze i zechcieliby odebrać to, co wpierw dali. Pan nie miałby skąd oddać, a coby się dalej zrobiło — nie potrzebuję panu tłumaczyć. Byłoby z panem niedobrze.

— Zapewne; ale ponieważ moje położenie zmieniło się znacznie...

— Przepraszam pana — w czem ono się zmieniło?

— We wszystkiem. Przecież ostatecznie sukcesya....

— Przepraszam pana, ona już jest zmierzona, zważona, oszacowana, policzona co do jednego grosza. Pan się dziwi, jakim sposobem? My mamy swoje sposoby... Niech-no pan uważa: to, co pan dostanie, uczyni razem... Zaraz obliczymy, ile to będzie...

Odsunęła serwetę ze stołu i wziąwszy kawałek kredy, zaczęła liczyć. Oboje przytem pochylili się nad stołem tak, że głowy ich prawie stykały się jedna z drugą.

Nagle Mojsie ukazał we drzwiach blade swoje oblicze i zawołał groźnie:

— Małka!

Oburzona do najwyższego stopnia, piękna kupcowa zerwała się i jak fryga wybiegła, obrzucając swego małżonka gradem słów, zapewne niezbyt pochlebnych; następnie popchnęła go ku drzwiom i poradziła mu, żeby poszedł sobie na spacer, a jej nie przeszkadzał w ważnych sprawach.

— Przepraszam pana bardzo — rzekła, wróciwszy — przepraszam. Mąż miał do mnie pilny interes; załatwiłam go na poczekaniu. On dobry człowiek, ale trochę nudny. No, niech go tam! Zacznijmy ten rachunek nanowo.

Młody człowiek ze zdumieniem słuchał, jak wyliczała wszystkie jego długi, większe i drobniejsze, co do grosza i zestawiła ich sumę z wartością sukcesyi.

— Prawda, że tak jest, jak ja liczę? — zapytała, skończywszy rachunek.

— Myślałem, że trochę więcej...

— Niech mi pan wierzy, że nie; to dobrzy rachmistrze rachowali; mogli się omylić, niech o sto,

o dwieście rubli, ale nie o więcej; ja za nich ręczę, jak sama za siebie. Jeżeli pan zechce zapłacić swoje dłużki, to pieniędzy panu nie wystarczy, a każdy będzie się upominał, będą panu robić przykrości; ale myśmy obmyślili dla pana sposób. Aj, ja się przytem napracowałam dużo. Tu była na pana cała komisya, a skończyło się na tem, że postanowiliśmy pana ożenić. To jest jedyna apelacya dla pańskich interesów i jeżeli pan tego nie zrobi, to może być źle... Ale pan posłucha dobrej rady. Pan się ożeni; ja panu każę.

— Dajmy na to, ale z kim?

— Z bardzo ładną panienką.

— Czy ją znam?

— Dlaczego nie? Sąsiadka, starsza córka pana Boreckiego z Brzozówki. Może nie ładna?

— Przystojna...

— Tylko? Na moje oko, ona śliczna jest, a jaka delikatna, jaka edukowana i bogata! Panu Boreckiemu nie brakuje pieniędzy.

— Podobno...

— My wiemy. Zresztą, niewielka sztuka wiedzieć; jego dochód duży, a wydatki małe, on, zanim grosz wyda, to wprzód dziesięć razy obejrzy. Taki człowiek zawsze ma pieniądze odłożone. On się nie przyznaje do majątku, on narzeka na ciężkie czasy, ale wszyscy bogaci lubią narzekać. Taki zwyczaj ich. Ja jestem dla pana bardzo życzliwa, myśmy wszyscy życzliwi — więc rozgłosiliśmy, że na pana spadł wielki majątek. Ten głos poszedł po całej okolicy i do Brzozówki też trafił. Pan Borecki złakomi się napewno; tylko niech pan kuje żelazo, póki gorące, niech pan nie bałamuci. Póki o panu mówią, trzeba korzystać z czasu i jechać do Brzozówki.

— Eh! moja pani — odrzekł młody człowiek— odkładać, czy nie odkładać, to, jak ja myślę, jest wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Sądzę, że choćbym nawet nie miał żadnej sukcesyi, to chyba Borecki córkęby mi dał.

— Proszę pana, ja nie wiem. Możeby dał, a może nie; ale prędzej nie.

— A cóż on za magnat? Czem może mi imponować? Taki dzierżawca, jak i ja, nie ma się z czego pysznić, a że mu się trochę lepiej powodzi, to jeszcze nie racya, żeby mną pogardzał. Majątku wprawdzie nie mam, ale osoba moja przecie coś warta.

— Oj, oj! i jak. Osoba warta, na moje oszacowanie...

— Ile?

— Dużo. Panienka, która za pana wyjdzie, może być bardzo kontenta, bardzo szczęśliwa, może się pysznić, że ma takiego ładnego męża, tylko...

— Cóż tylko?

— Tylko jest jedna dyferencya. Panienki mają inaczej w głowie, a ojcowie inaczej. Tacy ludzie, jak pan Borecki, to staromodni ludzie, oni mają swoje fanaberye, nie patrzą na urodę, nie znają się na elegancyi, tylko chcą pieniędzy, majątku. W tym punkcie pan Borecki może pokazać grymas, ale skoro puszczony jest głos o pańskiem bogactwie, to nie zgrymasi. Ja pana zaasekurowałam od grymasów— ja! Spodziewam się po pańskim delikatnym rozumie, że pan dobrej rady posłucha i że nie będzie pan odkładał.

— Sprobuję.

— Trzeba, na moje sumienie, trzeba. Ja panu

w tem dopomagać będę, my wszyscy panu pomożemy.

— W jaki sposób?

— To już nie pański kłopot — my mamy swoje sposoby, a gdy wszystko będzie już dobrze, skoro pan dostanie ładną żonę i ładny posag — to niech pan pamięta, że to Małka radziła, że z jej ręki dostał pan jedwabne życie, śliczny los; że Małka wcale nie wspominała o porękawicznem, nie wymówiła nawet takiego słowa. Można po osobie zmiarkować z kim trzeba się godzić naprzód i na piśmie, z kim można na godne słowo, a z kim wcale nie potrzeba się godzić... Z panem nie trzeba, na pański honor można się zdać z zamkniętemi oczami. Ach! nie wszystkie interesa — dodała — robi się za pieniądze i dla pieniędzy... Niech pan wierzy. Może nie wypada tego powiadać, ale każda kobieta ma kawałek serca...

Rozmowa trwała dość długo, przybierając charakter coraz bardziej poufny. Piękna kupcowa wpadła w nastrój melancholijny i nie szczędziła spojrzeń powłóczystych a tkliwych, dając przytem do zrozumienia, że nie będzie na świecie szczęśliwszej istoty nad tę, która takiego kawalera dostanie; że nie każda kobieta ma dobry los na świecie... Niejedna musi znosić ciężką dolę, chociaż nie skarży się i nie pokazuje po sobie, że jest jej gorzko, bardzo gorzko żyć.

Tak zwierzając się potrosze ze swoich smutków, manewrując dziwnie oczami, przeplatając ciągle wyrazy westchnieniami, piękna kupcowa potrafiła wmówić w swego gościa, że mu jest nieodzownie potrzebna głowa cukru, funt herbaty, kilka paczek świec stearynowych, pewna ilość cytryn i flaszek araku, pożegnała go bardzo czułem uściśnieniem rę-

ki i głębokiem westchnieniem, oraz dopisała kilkanaście rubli na jego rachunku.

Zaraz też po wyjeździe Różańskiego, udała się do pewnego Żydka, znawcy biżuteryi, z prośbą o dokładne oszacowanie bransoletki.

Zatabaczony staruszek włożył okulary, zważył złoto, przypatrzył się uważnie kamieniom i oświadczył, że za ten fant można dać ośmdziesiąt rubli bez obawy o stratę.

Nie pod dobrą wróżbą rozpoczęły się konkury młodego dzierżawcy. Pierwsza wizyta spełzła na niczem.

Napróżno tęgie kasztany odbyły drogę z Zatraceńca do Brzozówki i z powrotem; Boreckiego w domu nie było, gdyż wyjechał za interesami na dni kilka, panienki zaś z ciotką były u pani Zawadzkiej.

Trzeba było zostawić bilet wizytowy i powrócić do domu.

Skromny domek leśniczego na Majdanie kąpał się w blaskach słońca. Na pogodnem niebie nie było ani chmurki, las mienił się tą zielonością wrześniową, która ma całe setki odcieni, zielonością, przeplataną złotemi, bronzowemi, czerwonemi barwami liści, krótkotrwałą swoją istność kończących.

Brzozy, lipy, dęby, jesiony, wszystkie piękne, a każde inaczej, odznaczały się zdaleka na ciemnem tle sosen i świerków. I zapach z lasu szedł żywiczny, orzeźwiający, łagodny wietrzyk przynosił tchnienie lasu przez okna otwarte do dworku.

Gwarno tam było; coraz rozlegał się srebrzysty śmiech dziewcząt, które do tego ustronia przybiegły, niby ptaszki, rozśpiewane i wesołe.

Dla pani Zawadzkiej była to uroczystość i popis zarazem. Staruszka miała swoją dumę i chciała pokazać ciotce Gertrudzie, że nietylko na własnem,

dużem gospodarstwie, ale i w obowiązku, na skromnem stanowisku oficyalisty, jeżeli kto zabiega i stara się, może żyć porządnie i mieć smaczny kawałek chleba.

Wystawiła też na stół, co tylko miała najlepszego w domu: całą kolekcyę konfitur, chleb wypieczony, jak na konkurs, ciastka własnego wyrobu.

Nie trzeba było aż takiego arsenału dowodów, żeby ciotkę przekonać; doświadczona gospodyni jednym rzutem oka potrafiła ocenić ład i porządek domowy, lśniącą czystość maleńkich pokoij i względną zasobność domu.

Co do panny Zofii, to gdyby ją zapytano, czy zna milsze ustronie nad ten domek wśród lasu, odpowiedziałaby z całą stanowczością, że nie zna i nie wyobraża sobie, żeby mogło istnieć na świecie coś, coby się z niem choćby porównać dało. Nie, niema nigdzie takiego domku, takiego lasu, takich drzew, takiego słońca wspaniałego, chociaż ono niby całej ziemi jednakowo przyświeca.

Po podwieczorku udano się do lasu na grzyby. Była ich taka obfitość, że nietylko panienki, ale nawet ciotka Gertruda, nie mogły się powstrzymać od głośnego wyrażenia podziwu.

Tysiącami tysięcy rozsiadły się one pod drzewami, wśród trawy, mchów, paproci; niektóre rosły tuż przy dróżkach, jakby w lesie zamało dla nich miejsca było, a jaka rozmaitość!

Wielkie muchomory, czerwone i biało nakrapiane, w szerokich, płaskich kapeluszach, to znów w kołpakach spiczastych; żółte gąski, bedłki białe na wątłych nóżkach, duże, lub też drobne jak groszaki, ogromne maśluchy, sitaki; w dołkach, gdzie las rzadszy i ziemia wilgotniejsza, dorodne rydze; dalej znów gołąbki; wreszcie pod dębami prawdziwe grzy-

by w ilości wielkiej, tylko schylać się i brać, jak swoje.

Tak ślicznie w lesie. Żółta wilga gwiżdże i przekomarza się z towarzyszkami, pstre dzięcioły kują w sosny, jak kowale, w oddaleniu słychać gruchanie turkawek i minorowe głosy grzywaczów. Czasem wiewiórka rzuci się, jak kula, z gałęzi na gałąź i biegnie wśród konarów z drzewa na drzewo, jak po ziemi; czasem spłoszona sarenka przemknie wśród drzew i mignie, jak błyskawica, krzykliwa sójka się odezwie, lub ślicznie ustrojona kraska przeleci. Niby-to cicho w lesie, a nie cicho, bo tysiące szmerów, dźwięków zlewa się w jeden chór z szumem drzew, z rozhoworem drżących listków, zapewne szepczących sobie nawzajem słowa pożegnania, gdyż coraz to który oderwie się od gałęzi i drżąc w powietrzu, powoli, bez szelestu, niby żółty lub czerwony motyl, opada na ziemię. Ukośne słońce przedziera się między drzewami, smugi światła odznaczają się wyraźnie na tle zieleni, a w tych smugach świetlanych roi się cały świat drobniutkich muszek.

Pod sklepieniem z konarów drzew olbrzymich, sklepieniem ażurowem, przez które niebo widać, rozlega się śmiech wesoły.

Co grzybów! co grzybów! Ten piękny, ten dorodny, obok jeszcze większy, a tam dalej aż trzy obok siebie, a wszystkie okazałe, zdrowe.

Panienki szczebiocą z panem Stanisławem, starsze panie posuwają się wolniej i znacznie pozostały w tyle.

Nie masz nic przyjemniejszego nad zbieranie grzybów, zwłaszcza, gdy się towarzystwo dobierze; panna Jadwiga więcej jednak zajmowała się grzybami, aniżeli towarzystwem i wyprzedziła siostrę tak,

że nie mogła nawet słyszeć, o czem ona z panem Stanisławem rozmawia.

A ona rozmawiała z początku o grzybach, potem o kwiatach, potem o lesie, przez chwilę zaś nie mówiła nic, tylko rumieniła się i słuchała, a musiało być opowiadanie bardzo zajmujące, gdyż przestała patrzeć na ziemię i przechodziła obok najpiękniejszych grzybów, nie widząc ich wcale.

Do koszyka przybywało niewiele, prawie nic, ale musiało przybywać do serca, gdyż biło ono niespokojnie i coraz świeże fale krwi różowej wysyłało do twarzy.

Nachylili się współcześnie, aby podnieść grzyb i wtedy on popełnił dziwną omyłkę: zamiast wziąć grzyb i wrzucić do koszyka, wziął jej rączkę i przycisnął do ust.

Grzyb ocalał, a nad nim, niby motyl leciuchny na barwnych skrzydełkach, przeleciało nieśmiało słówko miłości. I motyl ten musnął skrzydłem małe uszko dziewczyny, na ustach koralowych jej usiadł i w moment jeszcze cichsze, niż tamto pierwsze, słówko pochwycił i szczęśliwemu chłopcu je oddał... I stanęli ci dwoje pod wspaniałemi konarami dębu, w aureoli blasków, co się od zachodu między gałęźmi przedzierały, stanęli na kobiercu, utkanym z różnobarwnych mchów, traw, kwiatów leśnych, paproci, w zapachu, bijącym od sosen, w śpiewie drobnych ptasząt, ale nie widzieli wówczas ani dębów, ani sosen, śpiewu ptasząt nie słyszeli, upajających zapachów nie czuli, bo zdawało im się, że jakaś wróżka przeniosła ich nagle na niedostępne wyżyny, że z pod ich stóp usunęła się ziemia i że znaleźli się w nowym, nieznanym, eterycznym świecie szczęścia. Dopiero wesoły szczebiot Jadwini napowrót ich na ziemię sprowadził.

Ładna śmieszka połączyła się z nimi i posuwali się we troje, zbierając grzyby naprawdę.

— Zosiu! Jadwiniu! — rozległ się głos ciotki Gertrudy — wracamy!

Pokazało się, że najwięcej grzybów znalazła Jadwinia, bardzo pokaźną ilość starsze panie, a Zosia, chociaż jej pan Stanisław pomagał, miała zaledwie kilkanaście w koszyku.

Oczywiście winien temu był pan Stanisław, bo skoro zna las doskonale, mógł wskazać miejsce, gdzie masami rosną.

Ciotka uśmiechnęła się znacząco do pani Zawadzkiej; widocznie panie te porozumiały się już między sobą i o przyszłości młodej pary postanowiły.

Ciotka w duchu przygotowała się do walki z opozycyą ze strony brata i, jak zawsze, o zwycięstwie nie wątpiła. Cóż-bo, żeby jeden mężczyzna mógł stawić opór połączonym siłom dwóch kobiet! Tego jeszcze nigdy nie bywało.

Jak jedno mgnienie oka, zbiegł ten piękny wieczór; przy pożegnaniu pani Zawadzka bardzo serdecznie uściskała Zosię, zaś ciotka Gertruda pocałowała pana Stanisława w czoło.

Widząc to, panna Zofia spłonęła rumieńcem, bo doprawdy wszyscy jej dziś na złość robili! Ona tajemnicę swoją na dnie serca ukryła, a tu każdy robi takie miny, jakby się czegoś domyślał i coś wiedział. Najbardziej Jadwinia...

I dlaczego? Przecież naprawdę nikt nie wie i nikt się domyślać nie może.

Szybko, pomimo, że już noc zapadła, toczyła się bryczka po drodze do Brzozówki. Już była blizko mostu, gdy dał się słyszeć tętent galopującego konia.

— Pan Stanisław! — zawołała Zosia, gdy jeździec zrównał się z bryczką.

— Jaki ty masz wzrok doskonały! — rzekła ironicznie panna Jadwinia.

— Dogoniłem panie—odezwał się młody człowiek — aby je ostrzedz, że tu jest mostek zepsuty.

— Co też pan mówi — rzekł Wojciech stangret, dotknięty niejako w swojej godności — mostek nowy, a mocny, że choć z harmatami jechać.

— Zawsze jednak, na wszelki wypadek, odprowadzę panie do wsi, będzie bezpieczniej.

Odprowadził, pożegnał i zyskał na tem jedno krótkie, ale serdeczne uściśnienie rączki.

Zwrócił konia i jak wicher popędził na Majdan, a dziwił się zapewne, jak jeden zwyczajny mierzyn może na swym grzbiecie człowieka i taką niezmierną masę szczęścia udźwignąć...

ROZDZIAŁ II,

w którym mowa o burzliwej konferencyi, oraz jak Wasążek dowiódł pięknej Małce, że kobieta bez męża znaczy tyle, co mucha.

Zazwyczaj ciotka Gertruda w ważnych wypadkach wzywała brata na konferencyę, ale nie zdarzało się nigdy, żeby brat sam od niej rozmowy na osobności żądał. Stał się jednak wyjątek.

Wieczorem po kolacyi, gdy się już do snu miano zabierać, pan Borecki, wbrew zwyczajowi, siedział jeszcze przy stole. Zapytywał o różne szczegóły gospodarskie i zaczynał, jak to mówią, z różnych

beczek. Siostra patrzyła na niego uważnie, domyślając się, że zaszło coś, o czem chciałby z nią pomówić, a nie śmie, lub ociąga się.

Aby zadowolić prędzej swą ciekawość, spojrzała na zegar i rzekła:

— Panie bracie, dziesiąta, czas spać, a i bratu radziłabym zrobić to samo, bo jutro będziesz niewywczasowany.

— Hm! racya, ale widzi pani siostra...

— A widzę, że dziesiąta.

— Miałbym coś do powiedzenia, to jest miałbym do pani siostry prośbę.

— W swoim domu brat jest i może rozkazywać.

— Zapewne, rozkazuję tu ja wszystkim, byle nie siostrze. Otóż tedy, pani siostro...

— Cóż bracie?

— Nie gniewałbym się, żeby w niedzielę był dobry obiad.

— Alboż zeszłej niedzieli był zły?

— Doskonały, ani słowa; ale ja na ten raz chciałbym, ażeby był trochę wystawniejszy.

— Czy będą goście?

— Tak.

— Jeżeli Zawadzka z synem, to dla nich frykasów nie trzeba. Kobieta skromna i oszczędna.

— Że też pani siostra zawsze z tą Zawadzką.

— Może nieprawdę powiedziałam?

— Owszem, ale cóż mi do jej gospodarności?

— Skoro ma być w niedzielę...

— Któż to pani siostrze powiedział? Przeciwnie, chciałbym, żeby nie była tu w niedzielę.

— O z pewnością, jeżeli jej brat nie prosił, to ona nie przyjedzie...

— Ani mi się śniło.

— Więc jakiż gość?
— Młody człowiek.
— Młody? Może konkurent do Zosi?
— Kto wie? Może.
— A Zawadzki.
— Ja mu nie przyrzekałem, nie może mieć do mnie pretensyi.
Panna Gertruda przygryzła usta.
— Więc ma być wystawny obiad? — zapytała.
— Jeżeli można.
— Może pan brat będzie łaskaw zadysponuje.
— Zdaję się w zupełności na ciebie.
— Dziękuję za zaufanie i dobranoc.
Ciotka Gertruda zwróciła się do drzwi.
— Jakto? — zawołał za nią pan Jacek — nie ciekawa nawet jesteś wiedzieć, kto ma przyjechać?
— Sądziłam, że to tajemnica.
— Dla ciebie tajemnica, Gertrudo? — rzekł tonem wyrzutu.
— Czyż ja mogę wiedzieć, co brat myśli.
— Niechże pani siostra siada. Otóż ma przyjechać Różański.
— Cóż to za jeden?
— Czyż go nie znasz z widzenia? Sąsiad nasz.
— Więc to dla niego?
— Tak.
— Dla niego? — powtórzyła z oburzeniem.
— Mówię wyraźnie.
— A, panie bracie, tegom się po tobie nie spodziewała!
— Cóż?
— Żebym ja miała dla niego wystawne obiady gotować, honory mu świadczyć? Ja? Przepraszam uniżenie, ale kwituję z zaszczytu!
— Siostro...

— Tak. Powtarzam, że kwituję. Niech Wojciechowa, rządzi, ja odjeżdżam!

— Nie rozumiem, co siostrę tak oburza?

— Zapewne. Może mu brat gotów Zosię oddać?

— Dlaczegóżby nie?

— Oddaj, ojcem jesteś, masz prawo, ale ja na to patrzeć nie mogę, nie chcę i nie będę! Nie na to ci córki wychowałam, żeby je zmarnować, nie na to przywiązałam się do tych dzieci. Nie. Dziś widzę, że... Nie, ja na to patrzeć nie mogę i być tu, u ciebie, nie mogę. Oddalam się, proszę o konie na jutro, a jeżeli mi brat nie da, wynajmę u chłopa.

Dzierżawca za głowę się schwycił.

— Kobieto! — rzekł — upamiętaj się, com, ci zawinił? Co chcesz czynić?

— Zawiniłeś brat względem rodzonego dziecka, a co ja chcę czynić, tom już powiedziała. Chcę odjechać, osiąść gdzie w miasteczku i chodzić dzień w dzień do kościoła modlić się, aby Bóg dał bratu upamiętanie.

— Otóż to z babami!

— Z dziadami gorzej, mój bracie. Baba ma serce przynajmniej — czuje, a wy kamienie w piersiach nosicie... Słowa powiedzieć nie można. Tak chcę i tak ma być! Chce wydać najlepsze dziecko za jakiegoś obiboka i ani mu wyperswaduj.

— Przepraszam nie jest on taki obibok, jak się zdaje.

— A cóż jest?

— Młody człowiek, dość zamożny.

— Odkądże to?

— Od niedawna. Właśnie mi Żydzi mówili, że drobne dłużki, jakie miał, popłacił co do grosza i że niezadługo, za kilka miesięcy, ma odebrać znaczną sumę z zapisu.

— Proszę!

— Prócz tego, trzeba pani siostrze wiedzieć, że ma on zamożnego, a bezdzietnego wujaszka, po którym napewno kiedyś majątek odziedziczy.

— No, no, ale cóż więcej?

— Czy jeszcze mało?

— Nietylko mało, ale nic!

— Jednakowoż dowiaduję się, że już kilka razy wyjeżdżał i że szuka majątku do nabycia, a dzierżawę radby komu odstąpić. Człowiek przystojny, podobać się może, dobrze wychowany i nie słychać, żeby hulał...

Ciotka Gertruda uśmiechała się złośliwie.

— Panie bracie — rzekła — dziwię się.

— Czemu się dziwisz?

— Żeś taki łatwowierny...

— Wiem ja z dobrego źródła.

— Od kogóż?

— Od Żydów, a oni wszystko wiedzą.

— Ale cóż wiesz? Co? Że popłacił długi? Dlaczegóż ty panie bracie swoich nie popłaciłeś?

— Dla prostej przyczyny, żem ich nie miał.

— A on popłacił dlatego, że je miał! A czy popłacił, to jeszcze wielkie pytanie. Jedno więc wiemy na pewno, że umie długi robić; o tem ja już dawniej słyszałam. Cóż wiemy dalej? Że ma odebrać sumę z zapisu. Tymczasem jeszcze jej nie odebrał. Ma kiedyś dostać spadek po wuju. Tymczasem wuj żyje, a majątek, jeżeli go ma, może zapisać komu innemu. Chce kupić majątek...

— Czy i temu siostra nie wierzy?

— Owszem, w to jedno wierzę.

— Przynajmniej...

— A wierzę dlatego, bo wiem, że posag panny Zofii Boreckiej wystarczy na kupienie niedużego

majątku. Nie będą to magnackie dobra, ale folwarczek. Wierzę tedy, że pan dzierżawca Zatraceńca wolałby siedzieć na własnej fortunie i nie opłacać rat dzierżawnych, co mu przychodzi, o ile wiem, z trudnością.

— Skądże to siostra wiedzieć może?

— Znam kasyera. I jeszcze w jedno wierzę — dodała, patrząc złośliwie na brata.

— W cóż takiego?

— Może będzie wolał umizgać się do Zosi, aniżeli do tej swojej Żydówicy w Czarnembłocie.

Pan Jacenty zerwał się z krzesła bardzo oburzony:

— Co to za dziwactwa wygadujesz, moja pani siostro?

— Prawdę szczerą!

— Plotki chyba babskie...

— A więc niech będą plotki. Masz racyę, są to plotki, które cały świat na własne oczy widzi i na własne uszy słyszy. Twój piękny kawaler po trzy i cztery razy tygodniowo bywa w Czarnembłocie pod „Zielonym łabędziem“.

— U Małki?

— A tak. Ładna, bardzo przystojna Żydóweczka...

— Ładna, ale to niczego nie dowodzi. Przecież i ja tam bywam.

— Bywasz, panie bracie, kilka razy do roku, gdy masz zrobić sprawunek, ale nie przesiadujesz godzinami, nie umizgasz się, pieniędzy nie tracisz, tak, jak tamten pan.

— Czy to może być? Nie słyszałem, żeby on tak miał czynić.

— Wierzę najzupełniej; ty jesteś człowiek zapracowany, mało z kim się wdajesz, mało z kim roz-

mawiasz, ale ja wiem dobrze, co się święci. W Czarnembłocie co tydzień prawie jestem, a ludzi tak, jak ty, nie unikam. Mówisz, że kobiety lubią plotki; nie zaprzeczam temu, i ja plotki lubię, bo w nich jest dużo prawdy, a kto wie, co ludzie mówią, ten nieraz wielu przykrości uniknie.

— Hm! dziwne rzeczy mi pani siostra opowiada, bardzo dziwne. Będę sprawdzał, wywiem się, ale swoją drogą, uważasz siostruniu, ja go na niedzielę zaprosiłem. Spotkaliśmy się w miasteczku, tak się jakoś złożyło. Teraz na żaden sposób odpraszać nie wypada.

— A broń Boże!

— Więc?

— Cóż mam robić? Dam obiad, jak sobie życzysz, dobry obiad, nawet, jeżeli to konieczne, wystawny, ale proszę cię, bracie...

— Cóż?

— Nie zablizko, nie zaczule, daj mu poznać, że znajomość znajomością, a...

— Już ja będę wiedział, jak go traktować, chociaż jeszcze nie wierzę w to, co o nim mówią. Taki chłopak gładki, taki zdaje się rozsądny.

— Jak chcesz, możesz wierzyć, albo nie; przekonasz się z czasem, że ja mam słuszność.

Nic tak szybko nie rozchodzi się, jak plotka dobrze puszczona.

O majątku Różańskiego opowiadano cuda, a im bardziej wieść oddalała się od Czarnegobłota, tem fortuna, jaka na młodego człowieka niby to spadła, wydawała się większą. Na granicy powiatu do stu tysięcy urosła, w sąsiednim już miliona sięgała. Najgorliwszym krzewicielem tej bajki był Mojsie Fisch, we własnej osobie. Kogo tylko widział, kogo spotkał, chłopa, czy Żyda, czy jakiego dzierżawcę, wszyst-

kim o nadzwyczajnych bogactwach Różańskiego opowiadał.

Nikt tak nie pragnął, żeby się Różański ożenił, jak Mojsie; nikt mu tak pięknej panny, tak wielkiego posagu nie życzył, jak Mojsie, ten Mojsie, człowiek zafukany i zarazem uczony, który nie powinien był zajmować się takiemi głupstwami, jak małżeństwo jakiegoś tam puryca z Zatraceńca. Atoli Mojsie wyobrażał sobie, że z chwilą, w której to małżeństwo się skojarzy, w domu pod „Zielonym łabędziem" nastąpi zupełny spokój, a piękna Małka przestanie zasiadać przed lustrem i przypatrywać się swoim czarnym oczu, swoim ustom czerwonym i swojemu zgrabnemu nosowi.

— Panie Walenty — mówił Mojsie do Wasążka, nalewając mu piwo — on teraz jest pan, co się zowie pan...

— A twojej Małce radość! — wtrącił złośliwie szlachcic.

— Co ma być jej za radość z tego, że kto ma? Niech ona ma, to się ucieszy.

— No, no, niechno tylko Różański siaki taki grosz obaczy, to i jej się okroi.

— Za co?

— Za ładne oczy.

Mojsie poczerwieniał na obliczu i ramionami ruszył.

— Co pana Walentego cudze oczy obchodzą? Niech wasan lepiej pilnuje, żeby wasanu, przy jakiej zwadzie w karczmie, kto nie nadeptał na oko.

— Ej, Żydzie — krzyknął groźnie Walenty — nie gadaj zadużo!

— Niechno pan zapłaci za piwo.

— Zapłacę, jak wypiję i jeszcze jedną butelkę

każę dać. Cóż ty sobie myślisz, że Wasążek pieniędzy nie ma!

— Ja nic nie myślę; ja chcę dostać za piwo.

Wasążek garść miedziaków z kieszeni dobył i na stół rzucił.

— Znaj pana po cholewach! — zawołał.

— Dziurawe...

— Gęba twoja dziurawa! Strasznie shardziałeś, mój Mojsie, a możeś główny los na loteryi wygrał? No, ale żart żartem, ileż to ta sukcesya czyni?

— Czyja?

— A onego dzierżawcy z Zatraceńca?

— Dużo, panie Walenty, bardzo dużo! Ja chciałbym mieć to w majątku.

— Dziesięć tysięcy, dwadzieścia?

— Powiadają, że sto.

— Oho! sto tysięcy? Bajki, prześwietny sądzie! Łatwo to wymówić, ale mieć w kieszeni — trudno.

— On ma.

— To ci łajdak szczęśliwy!

— Dlaczego on ma być łajdak? Skoro człowiek ma sto tysięcy w majątku, to wcale nie jest łajdak i nie może być łajdak?

— A to dlaczego?

— Bo jest duży pan...

Wasążek zastanowił się nad tem zdaniem, wypił duszkiem kufel i rzekł:

— Prawda, sto tysięcy, to ma swoje znaczenie.

— Ma swój glanc! — dorzucił Mojsie.

— Że też to zawsze padnie na takiego, co nie potrzebuje.

— Coby pan Walenty zrobił, żeby miał sto tysięcy? — zapytał Żyd.

— Co jabym zrobił? Jušci wiedziałbym ja, co robić.

— Ale co?

— Najprzód sprocesowałbym Kobiałkę do ostatniej nitki, żeby na ostatnie psy zeszedł w jednym roku.

— No, no, to już jest dobry interes, ale na to nie potrzeba stu tysięcy.

— Po drugie, przypozwałbym Zimnowolskich chłopów o pastwiska i wygon, co ongi do nas należał i także sprocesowałbym ich do nitki, a potem kupiłbym sobie folwark i... albo ja wiem, może dwa folwarki. A wy, Mojsie, cobyście z takiemi pieniędzmi zrobili?

— Namyśliłbym się, a może wykupiłbym okowitę w całej okolicy, a potem podniósłbym cenę.

Rozmowę tę słyszała Małka, weszła do stancyi i rzekła:

— Nie wykupuj zaraz, proszę cię, Mojsie, bo ja jutro po okowitę posyłam.

Szlachcic rozśmiał się.

— Widzisz, Mojsie, jeszcze stu tysięcy nie masz, a już ci żona nie pozwala robić z niemi, co chcesz.

— Owszem, ja mu pozwalam — rzekła piękna Żydówka — teraz pozwalam mu, niech robi, co chce.

— A gdyby miał?

— Niech ma, ja mu życzę.

— Ale gdyby miał naprawdę?

— Zobaczylibyśmy. Wiecie, panie Walenty, że mąż nie powinien nic robić bez żony.

— A ja zawsze robię sam interesa.

— Przez to panu Walentemu nie jest dobrze na świecie.

— I źle mi też nie jest.

— Zawsze nie tak dobrze, jakby być mogło, gdyby pan Walenty słuchał żony.

— Akurat! Żona się zna na prawie!

— Pan Walenty zawsze tylko o prawie myśli.

— Bo to jest grunt, moja pani Małko. Na prawie wszystko stoi; powinnabyś pani o tem wiedzieć, bo i ten pan z Zatraceńca, skoro sukcesyę otrzymuje, to też nie na czem innem, jeno na prawie się zbogaca.

— Jakto na prawie? On dostanie czyste pieniądze, to się zbogaci przez pieniądze.

— Jak to dobrze, że baby światem nie rządzą— rzekł Wasążek—kiedy takiej prostej rzeczy nie rozumieją. Z czegóż to ten z Zatraceńca pieniądze ma dostać? Z sukcesyi. A z czego sukcesya? Juści z prawa! Żeby prawa nie było, toby i sukcesyi nie było; każdy drapałby dla siebie, jak mogący i co mogący. Zabijaliby się, a tak nie. Chciałbyś zabrać? Dobrze, wykaż się, coś za jeden? Coś był nieboszczykowi: brat, swat, ciotka, wuj, stryj, czy jak? Znam ja dobrze ten interes, bo się na prawie zęby zjadło, a koło sukcesyi chodzić potrafię, bo i sam, bywało, brałem i za cudzemi starałem się. Po Czuperkowskim Dyonizym, co mojej żonie właśnie wypadał, niby jako wujaszek, brało się pół staja gruntu. Grunt, prawdę powiedziawszy, łajdak pierwszej próby, sam piasek bieluchny, ale jakieśmy się zaczęli prawować! Ośmnaście lat proces szedł z Czuperkowskimi, z Kobiałkami, z Zabrodzkim, wszystkich dziadków wypominali, sąd trzy razy na grunt zjeżdżał i bitwy przytem między familią były tęgie, że jeden Kobiałka w szpitalu cztery miesiące odleżał, a przecie pozostał przy mnie i honor i pół staja gruntu. Niby naprawdę, to nie tak przy mnie, jak przy mojej żonie,

ale zawsze przy mnie, bo kobieta sama nic nie znaczy.

— Dlaczego kobieta nic nie znaczy? — zapytała z godnością Małka. — Co pan Wasążek za głupie gadanie powiada?

— He! moja pani, wiem ja dobrze, co mówię; pani tyle flaszek w sklepie nie masz, ile w mojej głowie różnego prawa siedzi! Prawdziwie, że jako w inszym trybunale. To też pani zaraz, na ten przykład, dobrze wytłumaczę. Już z latarnią w południe szukając, trudno takiego niedojdy Żyda znaleźć, jako właśnie pani Mojsie.

— Dajno wasan pokój, co to jest niedojda? Za co wasan komu ubliża?

— Dla przykładu się mówi i dla przekonania; juści każdy powie, że Mojsie niemrawa Żydzisko jest i chodzi, jakby śpiący... w domu nie ma ani głosu, ani znaczenia.

— No, dajcie pokój, bardzo proszę.

— Zaraz skończę. Ten pani kochany Mojsie popychadłem tu jest w sklepie.

Mojsie się oburzył.

— Czy wasan po to przyszedł, żeby mnie robić nieprzyjemności? Ja takich gości nie potrzebuję, niech wasan idzie sobie do Abrama.

— Czekać! Mówiłem, że Mojsie nic nie znaczy w domu, ale sprobójno pani pójść bez niego do sądu, albo do rejenta.

— To co? Jak mi się podoba, to pójdę.

— Gadać z panią nikt nie zechce i żebyś pani nie wiem co wyrabiała, to pani czynność nieważna i pani podpis nieważny, a ktoby na pani karteczkę dał pieniędzy, toby prędzej swoje ucho zobaczył, niż te pieniądze z powrotem.

— Jakto? Moja karteczka nic nie warta? To

nieprawda. Zapytajcie w mieście, na mój podpis każdy da, ile tylko zechcę.

— Głupi da i niewiedzący, a mądry roześmieje się tylko i powie, że żona bez męża znaczy tyle, co mucha! Czy ten mąż Mojsie, czy nie Mojsie, czy jeszcze marniejszy, aby jeno czapkę na łbie nosił i choć krzynkę do mężczyzny był podobien, to cała waga przy nim i dopiero, jak on podpisze, to i żony podpis znaczy. O, teraz pani rozumie?

— Rozumiem, że wasan, panie Wasążek, musiał dziś trochę zadużo piwa wypić.

— Oj, nie, moja pani Małko; panowie, którzy kodeksy robili, byli trzeźwi i znali się dobrze na wszystkiem. Wiedzieli oni, że mąż jest dla żony cała esencya i cała asystencya, bo choćby kobieta nie wiem jak była do spekulacyi obrotna, ale gdy przyjdzie do prawowania, to głowa jej nic nie obejmie; na takie rzeczy trzeba mężczyzny. Mojsie niech dobrze słucha i niech sobie w kominie zapisze, że ma znaczenie. Przyda się wiedzieć o takiej rzeczy człowiekowi, co, jak to mówią, pod pantoflem siedzi i świata Bożego z pod pantofla nie widzi.

— Ja wasana proszę — rzekła z godnością Małka — niech wasan nie mówi tego, co nie potrzeba.

— A! boisz się pani, żeby się Mojsie nie zbuntował i nie zaczął dęba stawać, a wierzgać, żeby się nie znarowił! Mojsie, słyszysz, żona się boi, pokażno swoją sztukę!

— Ja się nikogo nie boję, a choćbym się bała, to asanu nic do tego. On siedzi pod pantoflem, wolno mu. Każdy człowiek tam sobie obiera siedzenie, gdzie mu dobrze. Ja lubię siadywać w sklepie, wasan w sądzie. Jeden człowiek woli spać w pościeli, inny w rowie przy drodze. Jak komu do gustu...

Pani Małka opuściła izbę, a Wasążek rozmawiał dalej z Mojsiem i gasił pragnienie piwem bawarskiem z arakiem, gdyż to był jego ulubiony trunek.

Mojsie wrócił do przerwanej rozmowy o wielkim majątku, jaki spadł na dzierżawcę Zatraceńca.

Cuda o tem Żyd opowiadał. Wasążek zaś słuchał uważnie, a klął co chwila z podziwu i zazdrości, że zaś sobie trunku nie żałował, więc mu się wymieniane przez Mojsia tysiące w głowie dwoiły, troiły, wzrastały w czwórnasób, w dziesięcioro, puchły, rosły, piętrzyły się, jak odłamy lodu, parte jedne na drugie przez rozszalałą rzekę, gdy ta przeszkodę na swej drodze napotka i narazie pokonać jej nie może.

I pojechał szlachciura na swej starej szkapie pomiędzy opłotki i zaścianki, do panów braci swoich, aby im te wieści, fantazyą bogato ubarwione, zawieźć i opowiadać, a nietylko Wasążek je roznosił, powtarzali je dzierżawcy, oficyaliści, chłopi, baby wiejskie, ktokolwiek tylko był w Czarnembłocie, to nowinę najświeższą z sobą wywoził i rozwoził. Najbardziej jednak, najenergiczniej, rozkrzewiali ją Żydkowie. opowiadając wszędzie z gestykulacyą żywą, z zapałem, przysięgając na szczęście do handlu, życząc wrogom swoim, aby im coprędzej oczy wylazły.

Uszer Engelman mówił obrazowo do Mojsia:

— Jeżeli kiedy zdarzy wam się wyjść na przechadzkę nad staw i zobaczycie kamień, to podnieście go i silnem ramieniem rzućcie w wodę. Kamień do dna pójdzie i zginie bez śladu, a na wodzie zrobi się plusk i koła małe, większe, potem jeszcze większe, coraz większe, ogromne Jak ta woda kołami się rozchodzi, tak się i plotka rozchodzi, tylko trzeba rzucić kamień silnem ramieniem i ręką mocną, a wiecie, że w takim interesie nasze Żydki mają mocne ręce.

— Prawdę powiedzieliście, Uszer, oni to zrobili dobrze. Żeby taki purec z Zatraceńca miał tylko jeden procent od kapitałów, jakie mu przypisują, to mógłby kupić bardzo wielki majątek.

— To bardzo dobrze dla was jest.

— Dla mnie?

— Tak. Im prędzej on się ożeni, tem dla was lepiej. Ja nie chcę was martwić, ale paskudne języki dużo mówią o waszej żonie. Ja wiem, że w tem niema prawdy, ale niedobrze jest wogóle, gdy o czyjej małżonce mówią. Na co to? Choć nieprawda jest, to przykro, a że nieprawda jest taka moneta, która z drugiej strony ma niekiedy prawdę, to jest jeszcze bardziej przykro. Powiem wam więcej, że kobiecie nigdy wierzyć nie można, zwłaszcza, gdy jest młoda i ładna. Moja żona ma już blizko sześćdziesiąt lat, to ja jestem o nią trochę spokojny; wasza nie ma jeszcze tylu, więc nie może wam dać tego spokoju...

— Aj, Uszer, wy nie wiecie, ile ja mam zmartwienia! Czasem trafi się taka noc, że oka zamknąć nie mogę.

— Bardzo wam wierzę. Podług mojego rozumienia rzeczy, kobieta wogóle nie jest cymes, a ładna kobieta jest stworzeniem bardzo niebezpiecznem. Koło niej ciągle chodzi dyabeł, on jej pokazuje błyskotki, lusterka, gałganki, a myślicie, że on to darmo robi? Wcale nie — szuka swoich zysków, zaś jego zyski to nasza strata. Nie potrzebuję was uczyć, Mojsie, bo wy to sami dobrze rozumiecie i gdy się ten purec ożenił, gdy przestanie do waszego domu zajeżdżać, to będziecie mogli sobie powiedzieć, że wygraliście wielki los na loteryi.

— On się ożeni!

Mojsie wymówił to z wielką pewnością siebie,

ze stanowczością i w danej chwili nie był daleki od prawdy.

Borecki poważnie o tem myślał i myślał długo.

Kochał on córkę i sądził, że wydawszy zamąż za człowieka młodego, przystojnego, a przytem tak bardzo majętnego, uczyni ją szczęśliwą.

Argumenta siostry nie przekonywały go bynajmniej; znajomość z Zawadzkim, przywiązanie Zosi do niego, uważał za przelotny kaprys dziewczęcia.

— Przejdzie to—mówił sam do siebie, chodząc wielkiemi krokami po stancyi — przejdzie i przeminie. Dziewczyna zapomni, a choć trochę popłacze, będzie miała czem łzy ocierać. Pani siostra poetyzuje, romanse opowiada. Serca dziewcząt nie pękają, jak gliniane garnki na ogniu. Praktyczny rozum weźmie górę, a dziecinne marzenia rozwieją się, niby dym. Po roku przyzwyczai się Zosia do męża, po dwóch pokocha go. Chłopak młody, ładny, o wiele przystojniejszy od tamtego. Pani siostra mówi: utracyusz, hulaka, że ma jakieś drobne grzeszki za sobą. Pani siostra świata nie zna; snać nie zna ona przysłowia o piwie, co za młodu wyszumieć musi. Wyszumiał się, tem lepiej, teraz nabierze stateczności i będzie grosz szanował. Ja go wezmę w opiekę, a pod moim kierunkiem wyjdzie na gospodarza, co się zowie. Czego bo nie można dokonać, mając młodość, zdrowie, pieniądze i radę praktycznego, doświadczonego człowieka.

Najmocniej przekonany był Borecki, że się młody człowiek wpływowi jego podda i rad słuchać będzie.

Zatraceniec mógłby dalej trzymać, bo majątek to niezły i dzierżawa nie nadto wyszrubowana; możnaby jeszcze i sąsiedni folwark przybrać, za niewielkie odstępne. A gdyby Różański nie chciał na

cudzem pracować, to ostatecznie znalazłoby się coś odpowiedniego do nabycia. Zosia też z próżnemi rękami z domu rodzicielskiego nie wyjdzie; zbierał ojciec dla niej długo, oszczędzał, no i jest posag. Połączywszy jedno z drugiem, można ładne gospodarstwo zacząć.

Obmyślał pan Borecki plan przyszłości ze wszystkiemi szczegółami, tworzył w myśli, kombinował, a Różańskiego szczególnie polubił.

Młody człowiek zręcznie brał się do rzeczy i, poznawszy odrazu słabe strony starego gospodarza, umiał w nie uderzać. Po kilku wizytach, ojciec był zupełnie spaktowany i zapraszał młodego człowieka z całą serdecznością.

Ciotka Gertruda zmieniła taktykę. Widząc, że brat mocno przy swojem zdaniu stoi i że wprost przekonać się nie da, zaczęła udawać pogodzoną z losem. Dla młodego człowieka była chłodna, ale grzeczna. i przytem starała się usilnie o to, aby podczas jego wizyt Zosia była zatrudniona i aby się jak najmniej pokazywała w tak zwanym salonie. Siostrzenica bardzo ściśle wykonywała polecenia ciotki, a gdy na wyraźne żądanie ojca zmuszona była przyjść i wziąć udział w towarzystwie, siedziała ze spuszczonemi oczami, milcząca i jakby chora.

Po kilku tygodniach bywania, Różański mógł się tylko domyślać, że dziewczyna ta mówić umie, gdyż głosu jej jeszcze nie słyszał. Nie widział też nigdy uśmiechu na jej twarzy, ani nie mógł, choćby w przelocie, spotkać jej wejrzenia. Podziwiał tylko prześliczne, długie rzęsy, które cień na jej zarumienioną twarzyczkę rzucały. Kilkakrotnie usiłował zawiązać z panną Zofią rozmowę, ale to mu się nie udawało, gdyż Jadwisia uprzedzała siostrę w odpowie-

dziach, a ciotka Gertruda znajdowała zawsze jakiś pozór, aby Zosię odwołać:

— Moja Zosieczko, zobaczno, czy się dobrze piecze, czy mleko przynieśli, czy nie trzeba czego ze spiżarni?

I Zosieczka znikała z pokoju na godzinę, lub dłużej, rozmowę zaś z kawalerem prowadziła ciotka i Jadwisia.

W oczach Różańskiego Zosia mogła się wydawać jakby figurą z kamienia, istotą bez życia, automatem, który, na skinienie ciotki posłuszny, porusza się, wstaje, chodzi, siada, ale milczy, zawsze milczy; lecz ta figura, niby kamienna, była piękna w każdem poruszeniu, zachwycająca w swym smutku, czy też nieśmiałości. Jej milczenie drażniło młodego człowieka, zadawało dotkliwe ciosy jego miłości własnej.

Dlaczegóż ta jedna patrzeć na niego nie chce, kiedy wszystkie w całej okolicy mają dla niego najprzyjaźniejsze uśmiechy, teraz zwłaszcza; dlaczego ta jedna nie obdarzy go ani słówkiem, kiedy wszystkie witają go wesołym szczebiotem i dlaczego ta jedna, ta mianowicie, którą chciałby żoną swoją nazwać?

Postanowił zwyciężyć bądź co bądź, przełamać ten opór, zdobyć i uśmiech i spojrzenie i miłe słówko, ożywić głaz żyjący, serce w nim zbudzić.

W tej myśli coraz częstsze wizyty w Brzozówce składał i coraz bardziej je przedłużał.

Liczył na to, że przecież kiedyś, chociaż raz, znajdzie chwilę odpowiednią do rozpoczęcia rozmowy, że przełamie ten bierny, cichy, a jednak tak zacięty opór.

Raz zdawało mu się, że już, już sposobność taką pochwycił.

Było dość późno, zegar jedenastą wydzwonił, Borecki robił rachunki w swoim pokoju, szczebiotliwa Jadwinia wyszła, w saloniku została tylko Zosia, zajęta ręczną robótką i ciotka Gartruda. Ta siedziała na kanapie i, znużona całodziennem dreptaniem, przymknęła powieki. Różański był pewien, że drzemie, usiadł więc tuż przy Zosi i przyciszonym głosem mówić zaczął, że od czasu, kiedy ją poznał, spokoju nie ma, że tylko o niej myśli, marzy, że życie za nią oddać gotów...

W Zosi serce zamarło, to bladła, to znów fale różowej krwi napływały jej do twarzy, chciała uciec, a wstać nie mogła, chciała krzyknąć na niego, żeby sobie poszedł, żeby ją przestał dręczyć, ale głos zamierał jej w gardle.

Czemu ta ciotka śpi!

Stara panna niby drzemała, tak samo, jak ów żóraw wartownik, który żerującej gromady swoich współbraci strzeże. Słyszała wybornie każdy wyraz, wymówiony przez młodego człowieka i w chwili, kiedy ten z uniesieniem zapewniał Zosię o swojej miłości dozgonnej, otworzyła oczy i, niby bardzo zaciekawiona, zapytała:

— Proszę pana, czy Eufrozyna Różańska, która przed trzydziestoma laty wyszła zamąż za niejakiego Majera, jest pańska krewna, czy nie?...

Podobno była krewną jego rzeczywiście, ale zaskoczony zapytaniem w chwili tak stanowczej, wyparł się, że jak żyje o żadnej Majerowej nie słyszał, Eufrozyny Różańskiej na swoje oczy nie widział, że wogóle z dalszą familią stosunków nie ma żadnych.

Zosia w tej chwili zniknęła i nie pokazała się już więcej, zaś młody człowiek, wysłuchawszy długiej historyi o Ferdynandzie Majerze, który był z pochodzenia Niemiec, z fachu weterynarz, a ku wiel-

ikemu zmartwieniu rodziny Różańskich ożenił się z Eufrozyną, odjechał zły sam na siebie, na ciotkę, na cały świat, wreszcie na Małkę, która przy każdej sposobności powtarzała mu, że trzeba śpieszyć i spieszyć, że na pośpiechu wszystko zależy.

— Niechże kto pospieszy w takich warunkach, niech dojdzie do ładu z milczącą, jak zaklęta, dziewczyną, z ciotką, która się budzi niewiadomo po co i jakiegoś Ferdynanda Majera i Eufrozynę za ciekawy przedmiot dyskursu bierze.

Kiedy konkurent, tłumiąc w sobie gniew i wściekłość, odjechał, panna Gertruda udała się zaraz do pokoju swych wychowanic, gdzie znalazła Zosię rozżaloną, płaczącą

— Widzi ciocia... no, niech ciocia sama powie, jaki on niegodziwy! — mówiła, łkając. — Czego się przyczepia, czego chce?

— Uspokójże się, moje dziecko.

— Ciocia nie słyszała, co on plótł...

— Owszem, wszystko słyszałam...

— Przecież to niepodobna... bo, chociaż ja cioci nic nie mówiłam, ale ciocia wie... ciocia rozumie, że ja jego oświadczeń słuchać nie mogę, nie chcę, niewolno mi... Ja cioci wyznam wszystko, jak na spowiedzi. Pan Stanisław mi nie mówił nic...

— Nic?

— Troszeczkę tylko, ciociu moja najdroższa, parę słówek... prawie nic... Na cóż miał dużo mówić, kiedy wiedział doskonale, że ja go kocham... całem sercem!

— Jakto? Nic nie mówił, nie zapytywał i wiedział? Skąd? Chyba mu sama powiedziałaś?

— Ach! ciociu, cóż znowu? Tak trudno to opowiedzieć. Ja nie wiem, jak ciocię kocham; nie wiem, skąd on wiedział, ale wiedział... On takie oczy ma,

ciociu, że tylko spojrzy na mnie, to zgaduje, co ja myślę... Może cioci się zdaje, że on mi się oświadczył?... Wcale nie, tylko powiedział, że mnie bardzo kocha i ja mu też nic nie mówiłam, tylko... powiedziałam, że go także bardzo kocham... i już więcej ani jednego słóweczka, nic, nic, zupełnie nic, jak ciocię z duszy kocham!... Tylko później, ile razy go widziałam, to patrzył na mnie i pytał: „Czy to prawda i czy aż do śmierci?“ Więc ja mówiłam, że prawda, i że do samej śmierci. Przecież to nic złego, moja ciociu?... A teraz, teraz... jaka ja jestem nieszczęśliwa, jak bardzo nieszczęśliwa!... Czy tylko ja jedna na świecie, czy mało panien? Po co on tu przyjeżdża? Czego się do mnie przyczepił?

— Nie bój się, moje dziecko, nie damy się!

— Tak się cioci zdaje! Dziś mnie plótł różne androny, a jutro może napleść ojcu... Na moje nieszczęście, ojciec go lubi. Zawoła mnie, ja się rozpłaczę, ojciec krzyknie, tupnie nogą, rozgniewa się i cóż ja zrobię... Nie posłucham ojca?... Ach, moja ciociu, ciociu kochana, niech mnie ciocia ratuje!...

Przytuliła głowę do ramienia ciotki i ta stara panna, zawsze szorstka, surowa w obejściu, rozrzewniła się i rozpłakała. Ale to wzruszenie zaraz przeszło. Panna Gertruda otarła oczy i odezwała się zwykłym, rozkazującym tonem:

— Idź spać, ciotka cię nie opuści.

Jadwisia, która przez cały czas tej rozmowy cicho siedziała w kąciku, wybiegła na środek pokoju i zawołała:

— Ach! ciociu, żebym ja tak kochała pana Stanisława, jak Zosia go kocha, tobym tego utrapieńca z Zatraceńca miotłą wypędziła z domu!

Panna Gertruda spojrzała ostro na figlarną dzieweczkę.

— A ty dzieciaku!—krzyknęła—to ty tu jesteś? O kochaniu rozprawiasz? Ruszaj mi zaraz spać! Jeszcze od ziemi dobrze nie odrosło, a już o miłości dyskursa prowadzi Taki bęben!

— Niech ja sobie będę bęben — rzekła Jadwinia do siostry, po odejściu ciotki—ale energię mam i niechnoby kto ze mną chciał wojować!

— Cóżbyś zrobiła?

— Ja? Takbym mu dokuczała, tak z niego szydziła bez miłosierdzia, takąbym się stała dla niego czarownicą, jędzą, wiedźmą, taką sekutnicą z piekła rodem, żeby musiał uciekać za dziesiątą granicę!

Mówiąc to, gestykulowała tak żywo, tak się rolą jędzy przejęła, że Zosia, pomimo smutku, musiała się roześmiać.

ROZDZIAŁ III,

opisujący jak pani Małka zaczęła tracić cierpliwość, po co Błażej Pokrzywa udał się w drogę i jak ciotka Gertruda, na nic się nie zgadzając, zgadzała się na wszystko.

Było to już ku wiośnie. Śnieg stopniał, woda spłynęła, gdzieniegdzie już trawa zielonej nabierała barwy, a nad szaremi zagonami zaczynały dzwonić skowronki.

W Zatraceńcu, we dworku świeżo odnowionym i umeblowanym, uwijał się sprowadzony z miasta gubernialnego tapicer i zakładał firanki. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że domek oczekuje tylko na młodą gospodynię; wszystko było

nowe, świeże i nawet dość gustownie urządzone. Wprawdzie, co do tej nowej gosposi, jeszcze stanowcze postanowienie nie zapadło, ale człowiek przewidujący, a Różański chciał za takiego w oczach ojca Zosi uchodzić, nie czeka ostatniej godziny, lecz przysposabia wszystko naprzód zawczasu. Przysposobił więc, przygotował i miał zamiar zaprosić Boreckiego, aby go odwiedził i ten tak ślicznie urządzony domek zobaczył. Właśnie miał się udać w tym celu do Brzozówki, gdy przyniesiono mu odrazu siedem wezwań do sądu, z których pięć z powództwa pani Małki.

Gdyby nagle z pogodnego nieba piorun uderzył w ów ślicznie odnowiony i urządzony domeczek, gdyby ziemia się w Zatraceńcu zatrzęsła, młody człowiek nie byłby tak zdumiony, jak w chwili otrzymania owych pozwów.

Oczom własnym wierzyć nie chciał, chociaż najmniej dziesięć razy wezwania odczytał.

Że pozywa Dawid Śliwka, nic w tem dziwnego; że pozywa Glancman, rzecz całkiem naturalna: obadwaj ci ichmościowie bowiem lubią robić spekulacye na kosztach sądowych i znani są z pochopności do procesów. Ale Małka!

To być nie może, to mistyfikacya jakaś, chyba ktoś występuje w jej imieniu, ale bez jej woli i wiedzy. Kazał zaprządz konie i natychmiast popędził do Czarnegobłota.

Pod „Zielonym łabędziem“ było cicho i pusto. Żydziak w sklepie drzemał za ladą, Mojsie przebierał korki w izbie szynkownianej, piękna kupcowa drzemała na kanapie w paradnej izbie.

Różański wbiegł, wydobył owe pozwy z kieszeni i rzucił je na stół.

— Może mi pani zechcesz powiedzieć, co to jest? — zapytał.

Małka przeciągnęła się bez ceremonii, ziewnęła głośno i odpowiedziała z uśmiechem:

— Tak dawno pan interesa prowadzi i nie zna pan jeszcze wezwania do sądu? Ja się bardzo dziwię. Chyba panu taka praktyka nie pierwsza?

— Ale pani wiesz od kogo one są?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Ja wszystko wiem: jeden od Glancmana, jeden od Śliwki, a pięć ode mnie samej.

— Od pani?

— Przecież tam stoi napisane.

— Ja tego nie rozumiem, nie pojmuję. Jakto? Więc pani mnie pozywasz? pani? A niby taka życzliwa, taka przyjaciółka!

— Co to ma do przyjacielstwa? Czasem rodzeni bracia mają sprawę w sądzie. Czy pan myśli, że ja nie jestem życzliwa. Oj, oj i jak! Pan mnie przecież zna.

— Więc co znaczą pozwy?

— Widzi pan, to jest tak. Ale niech-no pan siada, owszem, bardzo proszę, jak dawniej niech pan usiądzie sobie wygodnie. Tym pozwom i sprawom niema się pan co dziwić, to jest zwyczajna rzecz. Każdy człowiek ma swoją miarkę czekania, u jednego będzie to buteleczka, u innego gąsior. Ja dla pana, dla takiego pana, miałam, nie chwaląc się, całą kufę czekania i cierpliwości; ale żeby największe było naczynie, jeżeli z niego ciągle brać, to się w końcu przebierze i nic nie zostanie. Właśnie już się przebrało.

— Mogłaby pani poczekać przynajmniej dopóki nie doprowadzę moich zamiarów do skutku.

— Ach, te zamiary! Właśnie ja ciągle o nich

myślałam, ja panu mówiłam, że to rzecz pilna, a pan zwłóczy, ciągle pan zwłóczy. Taki interes powinien być skończony w cztery tygodnie, a to się już ciągnie blizko pół roku.

— Pani się zdaje, że to łatwo...

— Żebym ja była takim eleganckim kawalerem, jak pan, tobym już dawno wzięła pannę. Panu nie idzie. Nie spodziewałam się tego. Czy panu śmiałości brakuje, czy pan nie potrafi ładnie przemówić do kobiety? Jabym myślała, że to właśnie jest pański fach...

— Jednak ja dopnę celu, jeżeli mi pani temi przeklętemi pozwami wszystkich zamiarów nie popsuje.

— Niech się pan nie boi, niech pan nie myśli, że ja chcę pana szykanować, to wszystko pójdzie pocichu. Ja podałam do sądu, to prawda, ale nie po to, żeby pana procesować, tylko, żeby mieć zabezpieczenie. Ja radziłam się wielkich znawców na interesa prawne i oni mi powiedzieli, że rewers, weksel, karteczka, to jest tylko papierek, dopiero prawomocny wyrok — jest papier. Co panu szkodzi, że ja będę miała papier? Co panu ma przeszkadzać, że ten papier w komodzie u mnie leżeć będzie? To się robi dla zabezpieczenia i dla porządku, a nie dlatego, żeby pan miał przykrość. Proszę mi wierzyć. Pan zna Małkę, pan wie, że ja jestem kobieta z sercem, a dla pana... dla pana, to już sama nie umiem powiedzieć, jaka ja jestem dla pana...

Słowa piękna Żydówka poparła bardzo wymownem, powłóczystem wejrzeniem i uśmiechem, ale na młodym człowieku już to nie robiło takiego wrażenia, jak dawniej. Milcząca, nieprzystępna Zosia coraz więcej miejsca zajmowała w jego myślach; drażnił go cichy, a taki wytrwały jej opór, zaczął na-

prawdę marzyć o tem dziewczęciu skromnem, cichem i w zamiarach, jakie żywił, już nietylko posag panny Boreckiej, ale i jej osoba zaczęła rolę odgrywać.

Małka spostrzegła odrazu, że jej oczy, takie doskonałe oczy, już nie działają, jak dawniej, że pociski czarnych źrenic są teraz prawie bezsilne.

To odkrycie rozgniewało ją, bo, jak słusznie mawiał Uszer Engelman, ładna kobieta jest najgorszym gatunkiem kobiety i szatan wie dobrze, dlaczego każe jej siadać przed lustrem i przypatrywać się własnym oczom i własnemu nosowi.

Małka nieraz wpatrywała się w zwierciadło, dla wypróbowania siły swoich spojrzeń i uśmiechów, tak samo, jak rzeźnik próbuje ostrza noża, którym ma zarznąć krowę. Jeżeli nóż tępy, to oczywiście rzeźnik nie jest kontent, ale służy mu jeszcze apelacya do szlifierza; lecz gdy kobieta widzi, że jej spojrzenia tępieją, staje się rozdrażnioną w najwyższym stopniu, bo na to niema już apelacyi, ani kasacyi. Taki interes odrazu posiada swoją prawomocność.

Małce nic a nic nie zależało na tem, czy ją młody dzierżawca lubił, czy nie, ale bardzo była kontenta, gdy chwalił jej urodę, zachwycał się oczami, podziwiał białość ręki. Było to nic, ale nic bardzo przyjemne, przytem targowało się trochę więcej; teraz on nie patrzy na piękność i nie kupuje tego, co mu nie potrzeba; nie wychwala urody, lecz gniewa się o głupie pięć pozwów.

Jaki on dziwny! Nie może tego zrozumieć, że kapitał wymaga zabezpieczenia, a jeżeli kiedy przyjdzie do sprzedaży kasztanków, nowego powozu, świeżo sprowadzonych mebli, Małka chce mieć prawo do podziału, narówni z innymi wierzycielami. Dlaczego ma tracić: czy z powodu, że jest piękna?

Wprost przeciwnie.—Historya i doświadczenie uczy, że nadzwyczajna uroda bywała często źródłem nadzwyczajnych zysków. Nawet chłopi w bajkach to opowiadają.

On się gniewa, ale i Małka rozgniewać się może, może stracić zupełnie cierpliwość, a wtenczas biada mu! Jednak Małka nie jest zła kobieta, zanim wpadnie w złość, chce jeszcze spróbować dobrocią. Zatrzymuje młodego człowieka.

— Czemu się pan tak spieszy? — zapytuje — niech pan spocznie; niech się pan posili, mam świeże sardynki z Warszawy. Jaki to towar, sam się pan przekona! Ja się bardzo dziwię. Pan tak wygląda, jak odmieniony. Gdzie się podział tamten pan Różański, mój pan Różański? — dodała z uśmiechem.— Pan zmartwienie ma, pan zły jest, zapewne o te pozwy? Żebym ja była wiedziała, że pan to weźmie do serca, poczekałabym jeszcze.

— Trzeba było poczekać — odrzekł — a nie wchodzić mi w drogę, teraz właśnie, kiedy jestem blizki...

— Ja tej blizkości nie rozumiem; ciągle o niej słyszę, a jakoś niema nic...

— Będzie.

— Daj Boże, ja życzę; pan nie wie, jaka ja jestem dla pana przychylna i nie od dzisiaj — dodała z westchnieniem. — Nieraz pan mi mówi, że jestem ładna kobieta; nawet bardzo często od pana takie słowo słyszałam. Czy w ładnej kobiecie może być zła i brzydka natura? Pan nie wie, pan nie miarkuje. ile ja mam dla pana przychylności. Niech pan się nie spieszy, niech-no pan opowie, jak panu idzie w Brzozówce. Ach, dla mnie to smutne jest!

— Dla pani?

— Nie mam co dwa razy powtarzać. Kto się

ożeni, to się odmieni. Pan będzie tu rzadkim gościem, ja nie będę pana widywała tak często, nie będę tyle targowała, co teraz. Będzie smutno... Ze wszystkich panów, jacy tu u mnie bywają, pan był najprzyjemniejszy pan... jedyny pan. Myśmy czasem porozmawiali, czasem pożartowali, teraz biedna Małka nie będzie miała do kogo słowa przemówić...

Uśmiechała się, ukazując równe, białe zęby, rzucając spojrzenia wymowne, ale młody człowiek przyjmował to objętnie; był strapiony i kwaśny.

Gdy odchodził, Małka, dotknięta w swej dumie, rzuciła za nim piorunujące spojrzenie i przekleństwo.

Słusznie mówił swego czasu pewien uczony, że dyabeł, obrawszy sobie za wspólniczkę swych figlów kobietę, przedewszystkiem napełnia ją pychą; to jest jego główny, podstawowy materyał, a reszta, to tylko dodatki.

Właśnie w Małce wzburzyła się pycha i gdyby Mojsie Fisch mógł czytać w myślach swej małżonki, toby drzemiący w nim lew zbudził się i ryknął z radości. Ale uczony Mojsie tego rodzaju czytania nie umiał. Spostrzegł tylko, że Małka jest bardzo zła i zagniewana, że wytargała za uszy posługującego w sklepie Żydziaka, a kucharkę swoją obrzuciła gradem strasznych przekleństw.

Mojsie nieśmiało zapytał o przyczynę gniewu, a usłyszawszy lakoniczną odpowiedź: „Idź do dyabła!“ — poprzestał na tej informacyi i udał się na rynek, gdzie zazwyczaj można się było dowiedzieć o wszystkich nowościach dnia.

W Brzozówce wszystko napozór szło zwykłym trybem. Zosia coraz była smutniejsza, a ciotka Gertruda przestała ją pocieszać.

O panu Stanisławie nie wspominała wcale, pomimo, że dwa razy jeździła do jego matki na Majdan.

O czem tam radziły i co uradziły, nie mogły się panny dowiedzieć, ale to się jakimś sposobem wykryło, że posyłały po dziada Błażeja.

I to również na jaw wyszło, że Błażej był, że mu pani Zawadzka torbę różnym prowiantem napełniła, że obie z ciotką Gertrudą długo mu coś opowiadały i przykazywały i że zaraz potem dziad poszedł, a jak poszedł, tak przepadł, jak kamień w wodę. Parę tygodni upłynęło, a Błażeja ani na lekarstwo.

Borecki coraz siostrę na konferencye zapraszał.

— Moja pani siostro — mówił — trzeba z tem małżeństwem raz skończyć. Myślę, że sama widzisz, iż będzie dobrze?

— Powiedziałam przecież panu bratu, że zgadzam się na wszystko. Ojciec jesteś, więc radbyś dziecko uszczęśliwić. Z początku oponowałam, ale po namyśle widzę, że niepotrzebnie. Twój rozum i twoje doświadczenie szanuję.

— I to mnie najbardziej cieszy, droga pani siostro — rzekł, całując jej rękę — to mnie najbardziej cieszy, że się zgadzamy w zdaniu. Pani siostra jesteś dla moich dzieci drugą i jak najlepszą matką, bolałoby mnie więc, gdyby tak ważna zmiana w życiu Zosi miała się stać bez woli pani siostry.

— Już mi też, panie bracie, komplementów nie mów, bom ja na to nie łakoma i nawet nie lubię... Stało się; wydajemy Zosię zamąż i teraz trzeba myśleć o przygotowaniach.

— Sądzę, że można dać Różańskiemu do zrozumienia, żeby się oświadczył.

— A cóż tak pilnego?

— Na co zwłóczyć? On już sobie, jak słyszę, domek urządził, podobno nawet bardzo ładnie i wszystko z gruntu poodnawiał, meble kupił. Przytem uwa-

żam, że się do dziewczyny przywiązał i schnie z oczekiwania i niepewności...

— To rzecz najmniejsza. Ilu znałam młodych ludzi w podobnem położeniu, wszyscy schli, ale jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, ani słyszeć, żeby który naprawdę usechł — i jemu więc nic nie będzie. Nie widzę żadnej racyi do pośpiechu.

— Jednak...

— Wiadomo bratu, że Zosia niebardzo temu konkurentowi sprzyja.

— Romanse to, pani siostro, poezya!

— I na to się zgadzam, ma pan brat słuszność, ale po cóż straszyć dziewczynę przed czasem? Niech się oswoi z tą myślą, niech się przyzwyczai. To jednak najmniejsza rzecz. Powiada pan brat, że taka młoda panienka jest dzieciak i nie może mieć zdania — i na to się zgadzam, tak dalece, że nawet ten punkt w rozmowie pomijam. Ale są inne, ważniejsze względy.

— Naprzykład?

— Pan brat rozumie, bo przez całe życie tej zasady się trzymał, że wszystko trzeba robić rozważnie, po gospodarsku, nie łap, cap, jak na Urwańskiej ulicy. On dom już urządził, a myśmy jeszcze nic nie przygotowali.

— Pieniądze-bo są...

— Bardzo pana brata przepraszam; są i nie są.

— Jakże znowu? Przecież ja chyba wiem, co mam w kieszeni?

— To też ja mówię. Z jednej strony pieniądze są — z naszej strony, a ze strony pana kawalera dotychczas niema jeszcze nic...

— Będzie...

— I na to się zgadzam. Ale dotychczas niema. Niech-no ureguluje wpierw interesa, niech podniesie

spadek, a przynajmniej niech się z nim wykaże czarno na białem; bo widzi pan brat, ja, choć baba jestem, a może właśnie dlatego, żem baba, wierzę tylko swoim oczom. Co jest na księżycu, czy za górami, to mnie mało obchodzi; co mam mieć, chcę mieć na stole, przeliczone, jak się należy. Zdaje mi się, że dawniej i pan brat takie miał zdanie, to też nie było zdarzenia, żeby cię kto na dudka wystrychnął, przynajmniej za mojej pamięci. Od czasu, jak jestem w Brzozówce i to biedne gospodarstwo domowe prowadzę, nie trafiło się, żeby przy jakimkolwiekbądź interesie kto pana brata oszukał. Nikogo brat nie skrzywdził i nikomu skrzywdzić się nie dał. Spodziewam się, że i przy wydaniu córki tak będzie. Co brat daje, to jest widoczne i jawne; niechże pan młody również widocznie i jawnie wykaże, co posiada.

Ten argument był najskuteczniejszy, ale jeszcze nie ostatni, ciotka albowiem postanowiła wyczerpać odrazu wszystkie racye.

— Nareszcie, panie bracie — rzekła — i ja nie mogę się skompromitować.

— Skompromitować?

— A naturalnie. Powiedziałam zaraz na wstępie, przybywszy, bracie, do ciebie, że ty masz myśleć o posagach dla córek, a ja o wyprawach. Zawsze słowa dotrzymuję, więc i teraz nie skrewię. Zosia dostanie wyprawę, co się zowie, porządną. Zgadzam się na wszystko, co pan brat mówi, ale na zrobienie wyprawy czasu mi trzeba i sądzę, że pan brat zechce moją ambicyę uwzględnić.

— To jest, jak?

— Dać mi trochę czasu. Nie bagatela to: kupić, uszyć, posprawiać. Panna Borecka, chociaż córka dzierżawcy, wywiezie z domu więcej pak i ku-

frów, niż niejedna dziedziczka. Na to grosz do grosza zbierałam i nie powstydzę się. Zgadzam się we wszystkiem ze zdaniem pana brata, ale nawzajem, co do tych kobiecych fatałaszków, muszę mieć swobodę.

Różański bywał codzień prawie i zawsze zastawał Zosię smutną i milczącą, jak kamień, przytem, niby żołnierz na warcie, zawsze była przy niej bądź ciotka, bądź Jadwisia, a najczęściej obie razem i z uprzejmością największą starały się bawić młodego człowieka nieustającą rozmową.

Nie mogąc na żaden sposób porozumieć się z panną ustnie, młody człowiek postanowił załatwić rzecz piśmiennie.

Kosztowało go to wiele pracy. Na najładniejszym papierze, jaki w Czarnembłocie mógł znaleźć, wysztychował wyznanie swych uczuć i błagał o odpowiedź.

Zosia, nie otwierając koperty, wręczyła list ciotce Gertrudzie.

Stara panna kazała sobie podać okulary, papier, atrament, pióro i ogromnemi literami nakreśliła te słowa:

„Siostrzenica moja jest tak wychowana, że listów od młodych ludzi nie przyjmuje. Korespondencyę nierozpieczętowaną i nieczytaną zwracam i mam nadzieję, że nie nastręczy mi Pan więcej okazyi do przypominania Panu, że postępowanie Jego jest niewłaściwe.

Gertruda Borecka".

Przez trzy dni Różański nie pokazywał się w Brzozówce, czwartego przyjechał, aby starą pannę przeprosić i wrażenie, jakie list na niej zrobił, zatrzeć.

Panny nie pokazały się wcale. Boreckiego w domu nie było, w saloniku oczekiwała sama ciotka.

Różański odrazu przystąpił do rzeczy. Przeprosił, przyznał pannie Gertrudzie zupełnie słuszność, ale zarazem tłumaczył się, że inaczej postąpić nie mógł.

— Źle zrobiłem, to prawda, lecz nie żałuję tego. Właśnie ten list fatalny daje mi sposobność do wynurzenia pani dobrodziejce tego, co oddawna wypowiedzieć jej chciałem. Ja pannę Zofię kocham i będę najszczęśliwszy, jeżeli za zezwoleniem ojca i pani dobrodziejki, zechce zostać moją żoną.

— Więc pan oświadcza się o rękę Zosi? — zapytała, przybierając minę bardzo poważną i nic dobrego nie wróżącą.

— Tak jest, pani... i błagam...

— Niech pan mnie nie błaga, moje bowiem zdanie niewiele znaczy w tym razie. Zosia ma ojca, ale kiedy pan do mnie zwraca się z zapytaniem, to dam panu chętnie, nie odpowiedź stanowczą, ale pewne wskazówki, mogące się na coś przydać. Nie grajmy w ślepą babkę; częste pańskie odwiedziny dały nam poznać, o co idzie i mówiliśmy z bratem o tym przedmiocie. Brat jest względem pana usposobiony dobrze...

— O! dzięki stokrotne!

— Za pozwoleniem, dotychczas jeszcze niema za co. Brat mój lubi pana, nawet nie miałby nic przeciwko temu, żebyś pan został jego zięciem; lecz Zosia jest jeszcze bardzo młodziutka... pana zna tak mało...

— Postarałbym się, aby ją uczynić szczęśliwą!

— Nie wątpię o tem, lecz nie trzeba działać pospiesznie. Ja jestem dla pana bardziej życzliwa, niż pan sądzisz i dam panu dobrą radę. Poczekaj pan

z pół roku i nie narzucaj się pan przez ten czas Zosi, nie oświadczaj się formalnie bratu memu. Zosia przez ten czas przyzwyczai się do pana, ośmieli, a brat będzie mógł podnieść kapitał, przeznaczony na posag... Bądź pan dobrej myśli i czekaj cierpliwie...

Różański za dobrą radę podziękował i wyszedł, chwiejąc się na nogach, jak pijany.

— Pół roku!...

ROZDZIAŁ IV,

opowiadający o kłopotach Wasążka i niedoli Rokity; tu również jest mowa o głębokich sentencyach Uszera Engelmana.

Najtrudniejszym bywa zwykle początek; ale jak się co raz zacznie, to już idzie. Doświadczył tego Walenty Wasążek, gdyż dopóki odgrażał się tylko Kobiałce, nic nie szło, ale odkąd rozpoczął proces i forsownie popierać go zaczął, to ruble nie szły, ale leciały, jak ptaki; jeden drugiego gonił, przeganiał, aż dno w mieszku stało się czyściutkie, jak szkło.

Każda sprawa jest trudna i kłopotliwa, ale graniczna sprawa bodaj najtrudniejsza, bo to i dowody, i regestry, i wywody od dziada, pradziada, i świadkowie, i zejścia na grunt i pomiary.

Nietylko głupia miedza, ale cały zagon tego ambarasu nie wart, ale że w takim razie nietyle o grunt, ile o honor idzie, o postawienie na swojem, więc strony obie forsowały, ile tylko która mogła

i czem mogła. Nie brakło Wasążkowi ambicyi, ale i Kobiałka w kaszy zjeść się nie dał, okrutnie na honor był czuły, więc jak się takie dwa niedźwiedzie za bary porwali, to już walka musiała być zawzięta, bo jak jeden, tak i drugi, prędzejby dał sobie rękę uciąć, oko wydłubać, aniżeli do zgody się nakłonić. Skoro zaczęte, to już niech się kończy, co ma kosztować, niech kosztuje i choćby nawet z torbami pójść, byle tylko przeciwnika rozumu nauczyć.

I prócz tej sprawy o miedzę, zaczęły się pomiędzy nimi i inne, nowe zupełnie, wytwarzać. Kobiałka, ujrzawszy cielę Wasążka na swym gruncie, kamieniem je zabił; Wasążek zaś sześciu gęsiom Kobiałki łby poukręcał — to już dwie nowe sprawy. Wasążkowa z Kobiałczyną przemówiły się przy studni i zdyfamowały się trochę nawzajem — trzecia sprawa. Wasążek Kobiałkę pobił — znów sprawa. I tak ze sprawy w sprawę szło, coraz bardziej się plątało, a wydatki rosły.

Kobiałka trochę zamożniejszy był, więc dłużej wytrzymywał i większy kredyt miał, ale Wasążkowi o grosz coraz było trudniej. Ganiał szkapinę swoją do Czarnegobłota, do innych miasteczek, ale Żydzi stwardnieli, jak krzemienie i prędzejby ze skały wodę wycisnął, niż z nich kilka rubli na tak pilną potrzebę.

Z różnych beczek Wasążek próbował, naprzód od samego Chaskla—nie chciał; dopiero od Jukla — także nie chciał; proponował, żeby pożyczyli mu wspólnie obadwaj razem — nie chcieli.

Udał się do miasteczka, pół dnia przesiedział pod „Łabędziem", zaczepiał Abrama, Mendla, Dawida — ani weź. Zaprzysięgli się i zaklęli na żony, dzieci, na szczęście do handlu, że w całem Czarnembłocie w danej chwili nie znajdzie się ani jeden ru-

bel, wszystkie utopione są w interesach i wyłowić ich napowrót narazie nie można. Trzeba czekać.

Może za pół roku, może w zimie o gotówkę nie będzie tak trudno, a wtenczas każdy chętnie takiej godnej osobie, jak pan Wasążek, wygodzi.

Próbował szlachcic szczęścia w innych pobliskich miasteczkach, ale również bez skutku — i z wycieczek takich powracał smutny, przygnębiony, bez zwykłej fantazyi i humoru.

Wielkie, nastroszone zazwyczaj wąsiska opuściły się do dołu, a i wierna starucha, to poczciwe bydlę, które rozumiało wszelkie myśli swego pana, stąpała pod nim powoli, ze łbem zwieszonym ku ziemi. Nawet w karczmach, gdzie na rozgrzewkę wstępował, zachowywał się na podziw spokojnie i cicho— anegdotek nie opowiadał, zaczepki z nikim nie szukał, siedział na uboczu i pił, milcząc, a na zapytania albo wcale nie odpowiadał, albo odburknął w taki sposób, że go już więcej nie nagabywano.

Swoją drogą sprawy prowadził, że zaś mu Żydzi pieniędzy dać nie chcieli, więc sprzedał krowę jedną, potem drugą... i to niełatwo mu przyszło, gdyż żona takiego gwałtu narobiła, że aż się cała wieś zbiegła, jak na dziwowisko.

Nawet guzów z tego powodu było kilka, bo za Wasążkowę ujęli się jej familianci i duża bitwa się wywiązała, ale jakoś Wasążek na swojem postawił, krowy do Żydów poszły, a pieniędzmi można było jakiś czas podtrzymywać procesy.

Po stracie dwóch krów, Wasążkowa wciąż rozpaczała i w żalu utulić się nie mogła. Daremnie mąż przekładał jej i tłumaczył, że to strata pozorna tylko i chwilowa, gdyż z chwilą wygrania sprawy, wszelkie koszta na Kobiałkę spadną i będzie je musiał co do jednego grosza zapłacić.

Wasążek był pewny wygranej, ale kobieta, na takie rzeczy nie znawczyni, sądziła po swojemu i zapowiedziała mężowi, że już mu więcej do obory zaglądać nie pozwoli i że trzeciej krowy ruszyć nie da.

— Chyba mnie pierwej na cmentarz wyprowadzisz — mówiła — aniżeli weźmiesz to bydlątko. Dość już! Dwie straciłam, takie kochane, od maleńkości wychowane... takie dobre!...

Słuchać Wasążek tych żalów i tego lamentu nie mógł; uciekał więc w pole, gdziekolwiek, byle dalej od domu. Nocował w stodole, często i głodu przymierał, a na obiad do izby nie szedł, bo kobieta, czy o łyżce, misce, czy o czemkolwiek mówiąc, zawsze do tych nieszczęsnych krów powracała i taki znów lament czyniła, że tylko uszy zatykać i za dziesiątą granicę uciekać.

W dodatku do wszystkiego złego, Jukiel i Chaskiel o należność swą dopominać się zaczęli, z początku spokojnie i grzecznie, a dalej coraz ostrzej i natarczywiej, że zaś Wasążek pieniędzy nie miał, więc się o sąd cała bieda oparła. Napróżno szlachcic prosił i układy różne proponował — nie chcieli ustąpić.

— Wasan myśli — mówił Jukiel — że z wasanem można się układać?

— Ja chcę przecież...

— Kiedy wasan kapcan jest już i układu nie dotrzyma. Wasan prawować się lubi; wasan przeprocesował wszystko, nawet krowy. Z czego wasan odda?

— Toć ziemia jest, zboże rodzi, uchowa się co z dobytku, to oddam. Nie chodzę lekko po świecie, ale jestem gospodarz.

— Oj waj... taki gospodarz? Co wasan za go-

spodarz! Wasan tylko koło sądu i koło karczmy gospodarstwo ma...

— Ej, nie urągaj no ty... bo...

— Ty! Co to jest ty? Wasan grozi, komu wasan grozi? — rzekł Jukiel, cofając się szybko.—Wasan chce robić awanturę? Wielki pan, myśli że go się kto zlęknie!... To wszystko za naszą dobroć, za naszą przychylność! Bierzecie od nas pieniądze, a płacić chcecie awanturą.

— Niechże-no Jukiel zaczeka — rzekł Wasążek — rozmówmy się po ludzku.

— Co mam z wami rozmawiać, o czem?

— O tym długu.

— Wcale nie myślę... Na co mi rozmawianie, oddajcie, coście winni...

— Kiedy teraz nie mam.

— Ładna zabawa! Niema pieniędzy i chce rozmawiać... Akurat to jest osoba do rozmowy!

Nie lepszy był i Chaskiel; ten również nalegał i o układach słuchać nie chciał. Podzielał on w zupełności zdanie Jukla, że kto nic nie ma, z tym niewarto rozmawiać. Szkoda czasu.

Posypały się pozwy, wyroki, zajęcia. Wasążek głowę stracił tak dalece, że już nawet do sądu nie zaglądał; puszczał sprawy zaocznie, nie apelował— on, Wasążek, który całe życie na procesach strawił. Przychodzi na człowieka taka chwila, że już mu wszystko jedno... Opuszcza ręce, mówiąc: „Niech się dzieje, co chce, już nic nie poradzę“.

Raz wieczorem wyszedł w pole i wlókł się bez żadnego celu, ot tak, aby iść. Głowę zwiesił, wąsiska opuścił, przygarbił się, wyglądał, jak dziad, tak dalece, że Rokita, polną ścieżką powracający do domu, nie poznał go odrazu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał zdziwiony — toć pan Walenty!

— Nie poznałeś, bracie?

— Sprawiedliwie, że nie. Coś pana tęgo zmogło...

— Wielkie są grzechy nasze, Michale, więc zmożeni jesteśmy i sponiewierani — a mnie zmogło to samo, co i ciebie.

— Słyszałem, słyszałem, że i pana Walentego też obrabiają Żydy po sądach. Aleć panu pół biedy, pan znający...

Wasążek ręką machnął.

— Niech tam — rzekł — choć i znający, ale czem płacić nie mający, jest ginący. Nie dam im rady, a oni mnie zmogą. Myślałem już i tak i siak... Spekulowałem, kręciłem głową, próbowałem różnych sposobów — wszystko na nic. Zguba przychodzi na człowieka i na tem skutek.

— I cóż oni wam, panie Walenty, zrobią?

— To samo, co i tobie... sprzedadzą, zniszczą i na cztery wiatry wypędzą.

Chłop drgnął.

— Ja — rzekł — ratuję się jeszcze, jak mogę.

— Do czasu, mój bracie.

— Co mam zboża, oddaję; z przychówku oddaję; zarobię jaki grosz — oddaję; furmanki żąda — jadę, aby choć tylko z chałupy nie ruszał, i jakoś dotej pory nie rusza.

— Do czasu, Michale, do czasu. Taki, mój bracie, to jak wilk... Dasz mu jagniątko, chce owcy, daj owcę — krowy mu się chce, krowę dasz — zjadłby konia, a nie masz konia, to i ciebie samego poźre. Znam ja ich doskonale, te wory dziurawe, beczki bezdenne; żebyś nie wiem jak pchał, nie napełnisz i nie napchasz. Mówią w bajce o smoku, co mu co-

dzień barana na pożarcie dawali; taki smok, Michale, lepszy od naszych Juklów i Chasklów, bo ich żarłoczność granicy żadnej nie zna. Tak i z tobą, bracie kochany, tak i ze mną, z drugim, dziesiątym i setnym... Wyciśnie z ciebie wszystko, co będzie mógł wycisnąć, a potem poźre cię z kościami...

— Oj, mój panie Walenty, żeby on mnie miał z chałupy wyrzucić, to ja sam nie wiem, cobym uczynił?...

— A ja wiem...

— Powiedźcież, panie Walenty, może i mnie to się na co przyda...

— Wątpię, mój Michale. Ja obrót sobie dam, bo edukowany jestem, a ty zaś robotnik tylko — to służby będziesz szukał. I znajdziesz, bo z ciebie oracz wielki i kosiarz wielki: siłę masz i zdatność za trzech. Gdziebądź przyjmą cię — w każdym dworze.

— Nie...

— A to dlaczego?

— Bo ja nie pójdę do służby...

— To i co zrobisz? Może komornikiem we wsi będziesz na pokomornem, a do roboty na dniówkę? I tak ludzie robią.

— Chyba nie...

— Więc jakże będzie z tobą?

— Nie wiem, nic nie wiem i, Bóg świadkiem, wiedzieć nie chcę.

— O! nie ciekawyś?

— Nie, panie Walenty, wolę już posłuchać, co wy ze sobą poczniecie...

— Ja już sobie obmyśliłem. Wojować z Żydami nie będę, bo ich nie zmogę. Oddać nie mam z czego, zniszczą mnie. Cała moja fortuna nie obstanie, żeby ich zaspokoić.

— Cała fortuna?

— Jakbyś wiedział!

— To nie może być, panie Walenty, posiedzialność macie porządną, gruntu też.

— Pójdźno, bratku, do rejenta, to się dowiesz, jak owe zagonki na wszystkie boki są opisane. Żydom się z nich wiele nie dostanie, ale i mnie wykurzą, jak lisa z jamy.

— I cóż poczniecie?

— Ha, mój Michale, choć ty prosty chłop, ale szczery i dobry człowiek, tedy ci powiem. Mógłbym ekonomować gdzie na folwarku, ale nie chcę. Od maleńkości na swojem, to mi kark bardzo zesztywniał. Jużbym ja nie mógł u takiego Różańskiego, naprzykład, koło drzwi stać i jego fochów znosić, jużem zastary; ale jest jeden Pan wielki, u którego służba honorem mi będzie.

— I cóż to za pan?

— Pan Bóg nasz miłosierny, Michale. Już ja trzy tygodnie bez roboty żadnej chodzę, jeno medytuję a dumam, dumam a medytuję; oj, i dodumałem się, że wielkie są grzechy moje i wielkie zmarnowanie życia mojego było... Opatrzyłem się, bracie, ale po niewczasie... Nie trzeba było tyle kodeksów w łeb kłaść sobie, i tyle spraw prowadzić, i tyle jarmarków odwiedzać, i tyle pisania Żydom podpisywać. Roześmiejesz się może ze mnie, powiesz: „Aha! obejrzał się kusy, jak mu ogon ucięli!“ Prawda, bracie, wszystko prawda i „nierychło, Marychno, po śmierci wędrować“ — to też prawda, ale Bóg miłosierny i jużem sobie postanowił Jemu do śmierci służyć i tak w onej służbie żywota dokonać.

— Jakże to? Przy kościele?

— A juści.

— Za dziada, czy co?

— O! zaraz ci za dziada! I to nie hańba, owszem, aleć ja jeszcze na co lepszego zdatny. Na książce każdej czytam, a choćby łacińska była, też potrafię, jako, że za młodu ciekawy byłem i pokazywali mi; nabożeństwo rozumiem, a nie chwalący się, śpiewam pięknie. Toć słyszysz nieraz w kościele. Pięknie śpiewam, co?

— Juści prawda, jak pan Walenty zaśpiewa, to jakby kto na wielkiej trąbie zatrąbił.

— Chwalić Boga, głos jest, a niema takiej pieśni kościelnej, którejbym nie umiał. I nietylko te, które naród śpiewa, ale łacińskie. Ja i „Asperges“, i „Veni Creator“, i „Salve Regina“, co tylko chcesz, nie chwaląc się, znam; do Mszy posłużę, aparat przysposobię, księdza ubiorę; więc umyśliłem sobie: pójdę w służbę Bożą i zostanę zakrystyanem.

— To nasz zakrystyan nie będzie?

— Będzie, ale przecież nie jeden kościół na świecie.

— I daleko pan Walenty od nas odejdzie?

— Niebardzo. Za Kopytkowem.

— Może do Biedrzeńca?

— Nie, do Woli... Byłem tam już, mówiłem z proboszczem, obiecał przyjąć od Świętego Jana.

— No, no...

— Cóż robić, bracie. Będę żył spokojnie, Pana Boga chwaląc, za grzechy odpuszczenia prosząc i niech tam... Zrobiłem rachunek sumienia, winowajcą jestem względem siebie samego, względem żony, względem dzieci, względem sąsiadów. Biję się w piersi i powiadam: moja wielka wina! Niech je psi zjedzą te kodeksy i procesy, dość już mam tego. I tobie, Michale, życzę po dobroci, ty za mną pójdź... Wszystko jedno, nie utrzymasz się tutaj.

— A cóż ja przy panu Walentym robić będę?

— Będziesz za dziada przy kościele.

— Nie było w moim rodzie dziadów i nie będzie.

— Hardy z ciebie chłop, Michale; parobkiem wolisz być?

— Nie będę, panie Walenty, jakom rzekł, nie będę.

— A czemże zostaniesz?

— Nie wiem, głowy na to nie mam. Chałupy swojej trzymać się będę, póki mogący i dziej się wola Boża. Wyście, panie Walenty, człowiek znający, piśmienny, wy i na książce potraficie, toście sobie obmyślili; ja chłop ciemny, nie potrafię. Jedno tylko wiem doskonale, że ojciec mój w tej chałupie siedział, ojcowy ojciec siedział, to i ja siedzieć powinienem... I... ach! panie Walenty, nie mówmy już o tem, bo jak pomyślę, to mi zaraz we łbie poczyna się kotłować, gorącość na mnie bije, a potem ziąb taki czuję po plecach, jakby mnie na polu, na to mówiący, zgrzanego, zimny wiater obleciał—i Bóg wie, co sobie do głowy dopuszczam, i w uszach mi bębni, jakby sześciu chłopów młóciło, i w ślepiach się robi czerwono, a w gardzieli tak sucho, że słowo się z niej wydobyć nie może... Już ja, panie Walenty, myśleć o tem nie chcę, zaciężka rzecz to dla mnie; wolę orać od świtania do zmroku, wolę kosić, wolę najcięższą robotę, bo kiedy grzbiet trzeszczy, to odełba gorącość odchodzi i takie wichry w uszach nie gwiżdżą, i takiego łomotania w skroniach nie czuję. Dziw, doprawdy, że pan Walenty inaczej to rozumie.

— Niby... jakże to dziw?...

— A że pan Walenty tak całą swoją chudobę na ich pastwę zostawi, bez żadnej obrony.

— Ja?

— Takeście przecież rzekli.

— Rzekłem, bracie, i prawda. Wielkie są grzechy nasze i ja już się prawować nie będę. Panu Bogu przy kościele służyć pójdę, a tu niech się dzieje, co chce.

— No, no... A tak się pan Walenty kodeksami przechwalał, tak zawsze dużo o prawie opowiadał...

— He, nie myśl-no, Michałku, że ja znów taki głupi. Ustąpię i pójdę, bo nie mam forsy na to, żeby się prawować; aleć żona moja w chałupie zostanie do czasu i Żydy jeszcze długo potańcują. Narobiłem ja im kapusty dość.

— Kapusty?

— A juści. Cóż ty, Michale, myślisz, że ja byłem głupi czekać, aż mi oni grunt i dom opiszą? Sam po dobrej woli sprzedałem, póki był czas.

— Jakże pan Walenty sprzedał, kiedy sam w chałupie siedzi?

— Sprzedałem, bracie kochany, rejentalnie, pół roku temu, zanim jeszcze Żydzi procesować mnie zaczęli i nie u naszego rejenta w Kopytkowie, ale u gubernialnego, żeby się zaraz nie rozniosło.

— Któż kupił?

— Byli tacy, co kupili: jeden, mój szwagier, a drugi kum, obaj przyjaciele. Ja już do mego gospodarstwa nie mam nic i jeno kobieta moja dzierżawczynią w niem siedzi. Ja biedak, ja pójdę w świat, ale kobiety mojej niełatwo będzie zmódz, bo ona żadnych podpisów nie dawała, a jako dzierżawczyni, za kontraktem, na swojem prawie siedzi. I bydełka resztę, co mi zostało, i kobyłę moją staruchę sprzedałem też, zanim wójt zajęcie dla Żydów zrobił. Co do jednego ogona wyzbyłem się wszystkiego, niech teraz robią, co chcą.

— Jakże, toć bydło u pana Walentego w oborze?

— Czasowo tylko, mój bracie, na przechowaniu. Tylko patrzeć, właściciele prawdziwi przyjdą i zabiorą.

— Takiem prawem, Chaskiel, Jukiel i insze Żydy nie dostaną.

— Albo ja wiem, nie moja w tem głowa, ale ich...

— Panie Walenty!

— A co, Michale?

— Ani w ząb nie rozumiem, co wy mówicie. Dopieroście rzekli, że jako za wielkie grzechy swoje na służbę Bożą do kościoła idziecie, że zaniechacie już wszystkie sprawy i procesy, że zostawiacie waszą fortunę Żydom na pastwę, a teraz znowu o procesach gadacie i że jako Żydy wam nie wezmą nic. Sprzecznie to: niby na prawo, niby na lewo, a po prawdzie, ani tak, ani siak.

— Oj, nie rozumiesz ty, Michale, nic nie rozumiesz. Grzechy moje są wielkie, na prawowanie pieniędzy nie mam, fortunę Żydom zostawiam, ale nie byłbym ja Walentym Wasążkiem, nie umarłbym spokojnie, w grobie, w świętej ziemi jeszczebym się przewracał, żebym onym gałganom kapusty nie narobił. Toć i koń, skoro go wilcy opadną, nie da się zjeść odrazu, jeno obróci się do nich tyłem i, jak pocznie wierzgać, to niejednemu zęby popsuje, albo i szczękę przetrąci. Cóż ja mam być gorszego od konia? Tak się dać zjeść bez obrony? Ej, bracie kochany, to nie na mnie. Kopyt ja, co prawda, nie mam, ale głowa, chwalić Boga, jest, i zawczasu piwo warzyć umiem. Wasążka samego nie zjedzą, a jeżeli już przyjdzie na to, że zjedzą, to sobie zęby poszczerbią. Rozumiesz teraz, bracie?

— Nie.

— A toć jasne, jak dzień. Moja fortuna szlachecka, kupić każdemu ją wolno; wyroki są; przyjdą Żydy do opisu, a skoro przyjdą, to zaraz szwagier mój i kum do nich z aktem, jako jednego jest połowa i drugiego połowa. Kupili, zapłacili, opisali się dokumentnie, a mojego niema w tem nic. Biedak jestem i w służbę idę. A chcą się do bydła dobrać i do konia, to też posprzedawane. Żydy uderzą w gwałt, zaczną krzyczeć, poznają, że Wasążek twardy, że trzeba mocnych zębów na niego.

— I nic nie wskórają?

— Niewiadomo, mój bracie, może wskórają, może i nie. Do sądu pójdą, szwagra zapozwą, kuma zapozwą, świadków zaczną ściągać, dowodzić, że te wszystkie kupna nieprawdziwe, że to tylko udanie na ich krzywdę. Dopiero się zacznie kapusta! A i to, bracie, trzeba ci wiedzieć, że rejentalny akt, to twarda rzecz, jak mur, niełatwo go obalić. Będą próbowali, a ja się będę śmiał. Popamiętają oni Wasążka!...

Rokita zamyślił się i po chwili zapytał:

— Panie Walenty, a dla mnieby pan takiego dobrego sposobu nie znalazł?

— Oj, nie bracie. Tyś już dawno opisany; żeby przedtem, to jeszcze, ale teraz już nierychło, już wszystko przepadło.

Chłop głowę zwiesił i poszedł ku domowi. Gnębiło go pytanie: dlaczego Wasążek znalazł sobie sposób, a on nie ma drogi wyjścia i czy naprawdę już nie ma? Wasążek mądry, aleć chyba na świecie są mędrsi od niego. Trzeba poszukać.

Zaraz, przyszedłszy do domu, zebrał wszystkie papiery sądowe, jakie mu podczas procesu z Chasklem przyniesiono, zebrał, złożył je porządnie, owi-

nął w głagan i troskliwie ukrył w zanadrzu, potem wziął kawałek chleba na drogę, kij w rękę i na całą noc poszedł do gubernialnego miasta, o dziesięć mil drogi.

Tam ludzie mądrzy są i prawo znający, może oni co na jego niedolę poradzą?

Szedł chłop równym, miarowym krokiem, księżyc mu przyświecał, szedł i rozważał w duchu opowiadanie Wasążka o tym koniu, co gdy go wilki na pastwisku obskoczą, nie da się poźreć dobrowolnie, ale broni się i wierzga.

W tym samym czasie, kiedy Rokita w drogę się puścił, w Czarnembłocie Mojsie Fisch poszedł odwiedzić swego przyjaciela Engelmana i zaproponować mu wspólną przechadzkę na miasto, trochę dla zdrowia, a trochę dla wymiany myśli.

Filozof czarnobłocki długo prosić się nie dał. Poszli więc. Z początku kroczyli w milczeniu, jak ludzie, którzy wyłącznie tylko ruch mają na celu, potem zaczęli przebąkiwać coś półsłówkami, aż wreszcie, doszedłszy do kamienia, wpadli w porządną i poważną rozmowę.

— Wiecie, Uszer — rzekł Mojsie—mam wam ważną nowinę powiedzieć. Głównie ona dla mnie jest ważna, ponieważ mnie bezpośrednio obchodzi, ale że swego czasu mówiliśmy o tem, więc może i dla was będzie też ciekawa.

— Wszystko, o czem się mówi, jest ciekawe — odrzekł sentencyonalnie Uszer — jeżeli nie samo przez się, to pośrednio, to jako punkt przyczepienia, z którego można rozpocząć i wysnuć zajmujący dyskurs. Mówcie tedy, co mówić macie, Mojsie, ja was z uwagą słucham.

— Była niedawno pomiędzy nami rozmowa o ładnej kobiecie i o dyable. Nie potrzebuję wam po-

wtarzać, gdyż pamiętacie zapewne, że ładna kobieta, to była moja żona, szatan—szatan, a jego wysłaniec i czeladnik—ten młody goj z Zatraceńca! Mówiliście wtedy pięknie o kobietach, jako że do późnego wieku są one wspólniczkami szatana i że wierzyć im nigdy nie można. Rzekliście wówczas, że nawet o waszą żonę, która już ukończyła sześćdziesiąt lat życia, nie jesteście jeszcze zupełnie spokojni i obliczyliście zgrabnie, jak wielki musi być mój niepokój wobec tego, że Małka ma dwadzieścia kilka lat wieku i że, co prawda, to prawda, częściej zagląda w lustro, aniżeli w garnek. Wywiedliście wtedy bardzo zgrabnie wnioski i na nich zbudowaliście argument, że ponieważ w garnku gotuje się krupnik z koszernego mięsa, a w lustrze siedzi cała trefność dyabelska, przeto niewiasta, która patrzy w lustro, nie może być koroną głowy męża swego. Wyraziliście też mądre zdanie, że są wypadki, w których nie można być zanadto podejrzliwym i są mężowie, którzy nie powinni ani na jedną minutę zamykać oczu, lecz mieć zawsze otwarte źrenice. Wszak to są wasze słowa?

— Moje i zachwycony jestem waszą pamięcią.

— Ja wtenczas powiedziałem wam, Uszer, że czasem podejrzliwość chodzi zadaleko.

— Jakto?

— Naprzykład, za ścianą coś drapie i nam się zdaje, że tam jest wielki pies, tymczasem pokazuje się często, że to nie był ani wielki pies, ani mały pies, ani nawet mysz, tylko nasze zdawanie się.

— Bardzo was przepraszam, Mojsie — rzekł Uszer — ale orzech, który mi podajecie, ma łupinę zatwardą na moje stare zęby, musiałbym długo

gryźć! Bądźcie przeto łaskawi, rozłupcie ją sami odrazu, a mnie dajcie czyste ziarnko, bez łupiny.

— To znaczy?

— Powiedźcie wprost, jaką przynosicie mi nowość?

— Skoro taka wasza wola, odwracam kota ogonem; wyjdzie to na jedno, tylko początkowo chciałem wam przedstawić sens moralny, a potem przyjść do rzeczy. Żądacie inaczej — zgoda, macie rzecz. Podejrzewaliście, że Małka jest dla tego puryca życzliwa, więcej nawet, niż dla interesu handlowego wypada; tymczasem, żebyście wy słyszeli, jak ona go przeklina, jak przeklina! Aż moje serce rośnie, a jak ona go dusi za dług, jak ona go dusi, jakie ona jemu figle robi, to ja się tak cieszę, że o mało nie tańcuję z radości. Ja teraz mogę spokojnie spać, mogę zamykać jedno oko i drugie oko i oba oczy razem.

— Wiecie wy co, Mojsie? — rzekł Uszer.

— No?

— Nie zaszkodzi, jeżeli wy jutro rano, skoro tylko zaświta, pójdziecie do mykwy i tam trzykrotnie, raz po raz, zanurzycie się w zimnej wodzie, wraz z głową.

— Po co?

— Będziecie mieli jaśniejszy sąd o rzeczach.

— Ja was nie rozumiem, Uszer.

— Pomaleńku przyjdziemy do porozumienia, ale przedewszystkiem odpowiedźcie mi na pytanie: co wy myślicie o zdrowiu i siłach szatana?

— Co ja mam myśleć o zdrowiu takiego paskudnika? Niech on zdechnie!...

— Stoimy przy pytaniu, Mojsie. Jak wam się zdaje: czy dyabeł jest zdrów i czy ma siłę?

— Bez obrazy waszego honoru, ale ja nie je-

stem dyabelski doktór. Zresztą, co mnie do tego? Uszer, ja nawet nie mogę umiarkować, co was to obchodzi?

— A jednak zastanówmy się nad tą kwestyą. Nie mówię o milionach drobnych dyablików, tego tałałajstwa, tej hołoty, która się codzień rodzi ze złych uczynków i która ginie od jednego spojrzenia, od jednego zaklęcia, od kłębu dymu z fajki sprawiedliwego. To są muchy, komary, sam drobiazg. Ale mówmy o prawdziwych szatanach, o tych, co stoją na zdradzie ludziom i prowadzą swój interes hurtowo, na wielką skalę. Stawiamy kwestyę: czy oni są zdrowi, czy nie?

— Niech ich dyabli porwą!

— To nie odpowiedź, Mojsie.

— To nie pytanie, Uszer. Niech kto spróbuje wziąć takiego łajdaka za puls, niech opuka jego nieczyste boki! Ładnie będzie wyglądał!

— A jednak łatwo znaleźć odpowiedź.

— Bierzmy rzecz gruntownie. Dyabeł istnieje od początku świata i będzie istniał do końca świata. Czy wierzycie w to?

— Wierzę?

— Tedy łatwo wam będzie kombinować tak: Jeżeli taki paskudnik tyle czasu żyje, do tej pory nie umarł i do końca świata żyć będzie, to jest zdrów. Choroba nie przyczepi się do niego, i on jest zdrów, jak koń.

— Ale na co to wiedzieć?

— Czekajcie. Idźmy dalej. On robi rozmaite szprynce, figle, on biega po świecie, a na to trzeba siły. Siłę on ma, ale każda siła ma swój „in plus“ i swój „in minus“ — tak, jak licytacya. Siła się wysili, a wtenczas ten, co miał siłę, musi się zrobić osłabiony, dopóki nowa siła jemu nie przybędzie. Bywa

czasem, że w studni braknie wody, za dwie lub trzy godziny woda przybędzie, ale tymczasem jej niema i próżno człowiek wiadro zapuszcza — nic nie wyciągnie. Sądzę, że nie będziecie zaprzeczali mojemu zdaniu, iż siła ma taką córeczkę, która się zowie Osłabienie.

— To jest prawda.

— Więc wychodząc z tego punktu, przyznacie, że dyabeł, chociaż zawsze jest zdrów, jak byk, i nigdy nie choruje, miewa jednak chwile osłabienia... Przyznajecie?

— Owszem, wasze rozumowanie jest zupełnie dobre, przyznaję; tylko chciejcie mi powiedzieć, skąd my, nie doktorzy, ale zwyczajne czarnobłockie Żydki, przyszliśmy do tego konsylium nad dyabelskiem zdrowiem i co nam z tego interesu przyjdzie?

— Powoli, Mojsie, powoli. Pod wpływem wielkiej radości, wasz umysł cokolwiek stępiał, tak samo, jak dobrze wyostrzony i zahartowany nóż stępiałby, gdyby go w ogień włożono.

— Nic nie rozumiem.

— A przecież to takie proste. Skoro powiedzieliście, że wasza żona tak okropnie przeklina, tak się na tego goja zawzięła, to mnie zaraz przyszło na myśl dyabelskie zdrowie i zaraz zrozumiałem, że nasz wróg szatan chwilowo wpadł w stan osłabienia. Wy sobie to dobrze zapamiętajcie, Mojsie, i jeżeli macie trochę rozumienia rzeczy, nie zamykajcie prawego i lewego oka jednocześnie; nie zaszkodzi, jak jedno będzie zawsze trochę otwarte. Nie radzę wam też spać zbyt twardo, ani oddalać się od domu zbyt daleko, gdyż szatan, chwilowo osłabiony, może swoją siłę odzyskać. Mądrej głowie, jak wasza, Mojsie, nie potrzeba dużo gadać, prawda?

— Aj, Uszer, Uszer, wyście mi otworzyli, nie

powiem jedno oko, ale dwa! Słusznie powiada przysłowie, że nie każdy śpi, kto chrapie. Wy jesteście bystry człowiek, Uszer, i widzę, że znacie się na kobietach, jeżeli nie lepiej, to równie dobrze, jak na na próbie wódki.

Długo jeszcze trwała rozmowa na ten temat i późno już było, gdy się dwaj przyjaciele, powróciwszy do miasteczka, rozeszli.

— Dobranoc wam, Uszer! — rzekł Mojsie.

— Dobranoc wam, Mojsie! A pamiętajcie o tym gałganie, że on jest tylko chwilowo osłabiony.

— Bądźcie spokojni. Niechno on przyjdzie do siły: to ja zaraz przebudzę w sobie lwa — i pokażę swoją sztuczkę.

ROZDZIAŁ V,

opowiadający, dlaczego pan Borecki kazał konie wyprządz i po co ciotka Gertruda posyłała Błażeja.

Wiosna, coraz milej uśmiechając się do ziemi, poruszyła całą ludność wiejską. Mało kto w domu siedział, wszyscy dążyli na pola, do ogrodów, do pracy. Nawet osłabiony starzec wywłóczył się przed dom, na powietrze, na światło, a nie mogąc wraz z innymi jąć się ciężkiej roboty, chociaż kartofle przebierał, lub drobne narzędzia naprawiał, nie mogąc się oprzeć wezwaniu. Bo na wiosnę wszystko człowieka woła i wabi.

Zieleniejące drzewa, promień słoneczny, woda w rzece, ptak śpiewający, pierwszy kwiatek, wszystko, wszystko woła na człowieka: — Wstań i idź!

Wstaje więc człowiek i idzie do pługa, do brony, do siewu, na nowy chleb pracuje, bo mu już rychło starego zabraknie. Ruch się na polach robi. Z pastwisk dolatują odgłosy fujarek, a często i od zagonów wiatr na skrzydłach swoich dźwięki prostej, nie wyuczonej pieśni przynosi.

To jest taki czas, w którym się wszystko budzi: od ziemi, co w śnie zimowym spoczywała, do motyla, do najdrobniejszej muszki...

W Brzozówce ruch się także zrobił, jak wszędzie.

Pan Borecki po całych dniach był w polu, ciotka Gertruda przy ogrodach warzywnych, przy oborze, przy najrozmaitszych zatrudnieniach, jakie ta, niecierpliwie przez wszystkich oczekiwana pora roku przynosi.

Panienki objęły, jak co rok, ogród w posiadanie. Ten do nich należał i panowały w nim niepodzielnie.

Ciotka dawała im kilka dziewczyn do pomocy i zaczynało się kopanie, grabienie, sadzenie, a nieustające narady nad kwestyą, jakby ten, ich opiece wyłącznie oddany, zakątek przyozdobić?

Zazwyczaj co roku o takiej porze, panienki wydobywały z różnych skrytek nasiona, cebulki, kłącza różnych roślin, bardzo osobliwych, odznaczających się jakiemiś zaletami nadzwyczajnemi, a było przytem niemało śmiechu i przekomarzanie się, gdzie to posadzić, a gdzie tamto, co na tej, co na owej zasiać rabacie?

I w tym roku dziewczęta pracowały w ogrodzie; Jadwinia z zajęciem wielkiem, Zosia obojętnie.

Było jej wszystko jedno, gdzie ma być rezeda, gdzie balsaminy lub gwoździki, a na zapytania siostry odpowiadała półgłosem:

— Jak chcesz, jak uważasz, jak ci się podoba. Niecierpliwiło to Jadwinię.

— Doprawdy, Zosiu — rzekła — ja ciebie nie rozumiem. Czemu się tak ciągle martwisz i wzdychasz?

— Niby to nie wiesz...

— Właśnie, że wiem i dlatego się dziwię. Ciotka za tobą...

— I cóż z tego, kiedy ojciec nie jest za mną.

— Więc i cóż? Ojczulek zły nie jest, jak go zaczniesz prosić gorąco a serdecznie, nie będzie cię przymuszał. Żebym ja była na twojem miejscu, umiałabym sobie radzić. Ty tylko wzdychasz i płaczesz po kątach.

— Bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

— A ja ci mówię, że wszystko idzie ku lepszemu.

— Nie widzę ja tego, siostrzyczko.

— Bo masz ciągle oczy zapłakane. Ale ja widzę za ciebie. Tu się coś dzieje!

— To co i zawsze.

— A ja ci mówię, że nie to, co zawsze; ale coś nowego, coś takiego, co ci wyjdzie na dobre.

— Ale cóż właściwie?

— Ja nie wiem dokładnie, lecz, widzisz, są znaki, które dają dużo do myślenia.

— Szczególna rzecz, że ty zawsze widzisz to, czego inni nie widzą.

— Mylisz się, Zosiu, to, o czem myślę, widziało chyba ze stu ludzi, co mówię stu... więcej!

— W całym folwarku tylu niema.

— Bo też to było nie na folwarku, tylko koło kościoła. Wczoraj, nie wiem dlaczego, nie chciałaś z nami jechać i wymawiałaś się bolem głowy, chociaż nie bolała cię wcale.

— Wolałam się pomodlić w domu, aniżeli narażać się na spotkanie z panem Różańskim.

— Nie był.

— Ale mógł być. Jest prawie co niedziela.

— A niech go tam! Teraz słuchaj. Wczoraj nie mogłam ci opowiedzieć, bo ciągle ktoś był, a wieczór spać mi się chciało, więc dziś zdam ci relacyę. Po nabożeństwie ojciec rozmawiał z proboszczem. Przyłączyło się jeszcze kilku sąsiadów dzierżawców, kilku panów z zarządu dóbr. Jeden opowiadał widać coś bardzo ciekawego, bo wszyscy słuchali uważnie, a już najbardziej ojczulek. O! marszczył brwi i targał wąsy, jak to zwykle robi, kiedy jest zirytowany. O czem mówili, dokładnie nie wiem, ale ciągle słychać było: Zatraceniec, Różański, Żydzi... Jak mi się zdaje, nic dobrego o tym Zatraceńcu nie mówiono. Ciocia rozmawiała przez ten czas z panią Zawadzką, a ja z twoim panem Stanisławem.

— Z moim?

— Ach, nie przerywaj! Kiedy mówię z twoim, to z twoim, to znaczy, że ja ci go nie odbieram. Kiedy się panowie rozeszli, ojciec zbliżył się do nas, bardzo grzecznie przywitał panią Zawadzką, Stasiowi, ach, przepraszam, panu Stanisławowi, podał rękę.

— I?...

— No i nic. Pojechaliśmy do domu. Ojczulek z ciotką umieścili się w bryczce na siedzeniu, ja, jak zwykle, nawprost nich, na przodzie. Przez całą drogę i ojciec i ciotka nie wymówili ani jednego słowa; ojczulek wciąż brwi marszczył i wąsy przygryzał. Widzisz więc, jakie są znaki.

— Jak cię kocham, Jadwiniu moja, nic nie widzę.

— A! jeszcze ci mało? Słuchaj więc dalej. Po obiedzie ty wyszłaś, ja pomagałam Kasi sprzątać

i słyszałam najwyraźniej, jak ojczulek mówił do ciotki: „Pani siostro, jest zmartwienie i duże. Pełne uszy mi nakładli". Te słowa słyszałam i powtarzam najdokładniej.

— Cóż ciotka?

— Wzruszyła ramionami i rzekła: „Może to plotki, chociaż w każdej plotce znajduje się zawsze jakaś cząstka prawdy". Tyle tylko — więcej nic już nie rozmawiali. Ale po obiedzie była długa narada. Ojciec bardzo się irytował; rozkładał rękami, targał wąsy. Ciotka zaś była w doskonałym humorze; ciągle się śmiała; wreszcie ojciec trzasnął mocno drzwiami i wyszedł. O czem rozmawiali, nie mam pojęcia, bom z trzeciego pokoju przez drzwi otwarte słyszeć nie mogła, ale ruchy wszystkie widziałam doskonale i powiadam ci, Zosiu, są znaki, o! są!

— Ach, moja droga, żeby to można jakim sposobem dowiedzieć się od cioci...

— Myślisz, żem nie próbowała?

— I cóż?

— Na nic. Ciotka oświadczyła mi wręcz, że to do mnie nie należy i że nie powinnam się wtrącać w nieswoje rzeczy. Mój Boże! jakby twój los, twoje szczęście, były dla mnie nieswoje rzeczy! Usłyszałam też przy tej okazyi, że jestem dzieciak, bęben i że najwłaściwszem dla mnie zatrudnieniem jest szycie i cerowanie. Czy ja jeszcze mało szyję? O, patrz, cały palec mam podrapany i pokłuty. Swoją drogą, nasza ciotka, nawet wówczas, gdy się gniewa, nie jest zła, gdyż powiedziała, że w swoim czasie dowiemy się o wszystkiem. Niema więc co, Zosiu, zdobądźmy się na cierpliwość i czekajmy. Jak myślisz, czy tu będzie właściwe miejsce dla gwoździków?

— Co mnie teraz gwoździki obchodzą? Czy tu

będą, czy gdzieindziej, to mi zupełnie wszystko jedno.

— A przepraszam, moja siostro, tak nie idzie. Według mnie nie masz już powodu do zmartwienia; z tym Zatraceńcem coś niedobrego się zrobiło. Ja to czuję, ja wierzę w znaki.

— O jakich ty znakach ciągle mówisz, moja kochana?

— Widzisz, Zosiu, mam takie przekonanie. Naprzód zwykle śnieg ginie i lód topnieje, rola zaczyna się czernieć, przylatują skowronki, za skowronkami niedługo zjawiają się bociany, potem jaskółki i różne ptaszki, trawa się zieleni, na wierzbinie ukazują się kotki, na agreście malutkie listki, można już zbierać fiołki...

— I cóż stąd?

— Co? To są, kochanie, znaki, po których łatwo poznać, że idzie wiosna, że będzie coraz milej, coraz piękniej na świecie. Otóż te znaki, o których ci mówiłam poprzednio, zdają się być zapowiedzią twojej wiosny. Ja mam takie przeczucie, Zosiu — i doprawdy, co nam po wielkiem państwie, po cudzych sukcesyach i majątkach, dość dla nas tego, co mamy.

Zbliżyła się do siostry, objęła ją, ucałowała serdecznie, a potem obie pochyliły się nad rabatką i z różnych torebek, woreczków, paczek, wydobywały nasiona, aby je w ziemię rzucać.

W tym samym czasie Borecki, powróciwszy z pola, kazał zaprządz konie do bryczki. Usłyszawszy to, panna Gertruda porzuciła robotę i pobiegła do brata.

— Podobno pan brat wyjeżdża? — zapytała.

— Tak, pani siostro, wyjeżdżam do...

— O, nie pytam dokąd? Idzie mi tylko o to, kiedy wrócisz, czy mamy czekać z obiadem?

— Zaczekajcie... albo nie, nie trzeba. Zresztą, jak chcecie.

— Nie jak my chcemy, ale jak brat sobie życzy. Cóżby to był za dom, w którym nie stosowanoby się do woli gospodarza?

— Kiedy w samej rzeczy, pani siostro, ja nie wiem, może wrócę prędko, może zabawię dłużej; jak wypadnie. Droga niedaleka, lecz...

— Panie bracie, nie jesteś szczery ze mną, to źle.

— Ależ...

— Źle, źle! Masz, oprócz dzieci, jedyną siostrę życzliwą na świecie i nie powinienbyś ukrywać przed nią...

— Kiedyż-bo ja nie mam nic do ukrywania...

— A przepraszam, chociaż ja jestem kobieta, ale swojemi babskiemi oczami widzę więcej, niż się bratu zdaje.

— I cóż siostra widzisz?

— Wybierasz się do Różańskiego...

Borecki szarpnął siwe wąsy i zaczął chodzić po pokoju.

Pani Gertruda patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Dlaczego pan brat nie zaprzecza?

— No tak, nie zaprzeczam, jadę, alboż mi nie wolno?

— Zapewne, że wolno. Ale czy wolno głupstwa robić, to znowuż inne pytanie...

Borecki zaczął tracić cierpliwość.

— Pani siostra impertynencye mi mówi.

— Bo jestem siostra! Mnie też przykro, ale sumienie mi nakazuje ostrzedz.

— Przed czem? Co mi zagraża?

— Sam sobie zagrażasz. Potrzeba to w nieswoje rzeczy się wdawać?

— Ale...

— Nie, panie bracie, Bogu dzięki, ślepa nie jestem. Widzę, co się święci, a z kilku słów twoich odgadłam zamiary. Jedziesz do Zatraceńca, chcesz Różańskiego ratować, niepytany i nieproszony.

— No, więc cóż? Tak, chcę go ratować, bo chwilowo on tego ratunku potrzebuje.

— Chwilowo?

— Oczywiście. Sukcesyę odbierze i to, co mu dziś dam, wróci.

— Proszę!

— Dlaczego nie mam dopomódz? Chłopak dobry i sąsiad. Potrzeba jest chwilowa, a mogą go zniszczyć. Powiada siostra, że pomagam nieproszony? Prawda, nie żądał tego, aleć sam widzę, w jakich jest opałach. Pani siostra!, chociaż tak się rzucasz i srożysz, zrobiłabyś to samo, co ja.

— A broń Boże!

— Nie wystawiaj się gorszą, niż jesteś. Mając wszelką pewność oddania...

— Aha! hypoteka, prawda? Pierwszy numer na księżycu.

— Bardzo przepraszam, są kapitały i majątek.

— Widział pan brat, liczył pan brat, co?

— Nie liczyłem, ale to rzecz wiadoma; wszyscy o tem mówią.

— Także dowód! O tobie, panie bracie, wszyscy mówią, żeś bogacz, a jesteś tylko zamożny. Nie, nie spodziewałam się po bracie, żeby tak bez namysłu lecieć, jak ćma w ogień. Jak mi Bóg miły, nie uchodzi. Skoro się już jest w latach, trzeba być uważnym i rozważnym, dotrzeć do źródła, przekonać

się, sprawdzić. Są ludzie, którzy się takiej zasady trzymają.

— Cóż to za ludzie!

— Choćby, nie chwaląc się, ja! Baba jestem, a biorę się do rzeczy inaczej, niż ty, mężczyzna. To też brat się łudzisz, a ja wiem dokumentnie...

— Co pani siostra wie, co pani siostra wiedzieć może?

— A, panie bracie, przepraszam, co zrobiłam, to dla twego dobra i twych dzieci. Pan brat byłeś zaślepiony, więc ja musiałam mieć oczy otwarte za nas oboje.

— Ale nareszcie niech usłyszę, co właściwie pani siostra wie, jakie odkrycie zrobiła?

— Takie, że twój protegowany kawaler jest bankrut, że sukcesya, jaką ma otrzymać...

— Więc jest jednak sukcesya?

— Jest, ale tak mała, że na opłacenie połowy jego długów nie wystarczy... Chciał panicz skorzystać z rozgłosu, jaki zrobiono, zawrócić głowę panu Boreckiemu i wziąć jego starszą córeczkę z posagiem. Wcale nie głupia myśl i byłaby się niezawodnie udała, wbrew woli Zosi, ale, na szczęście, panna Borecka ma ciotkę, która zginąć jej nie da. Panie bracie, to, co ci mówię, jest szczera prawda, rzetelna. Panie bracie, zastanów się! Dziecka nie gub, a pieniędzy w błoto nie rzucaj, bo na nie ciężko pracowałeś i nikt ci ich w podarunku nie dał...

Chwilowo nastała cisza. Borecki był przekonany, że siostra ma słuszność, ale nie chciał się przyznać do tego. Wstyd mu było, że kobieta okazała więcej przezorności, niż on, który za bardzo przezornego się uważał. Sam nieraz mówił, że musi bardzo rano wstać ten, kto chce Boreckiego oszukać,

tymczasem Różański ani rano nie wstał, ani starań wielkich nie dokładał i... jednak...

— A, pani siostro, skoro tak powiadasz — rzekł — chciałbym ci wierzyć, ale proszę, dajże mi jaki dowód, niech będę przekonany.

— Bracie, daję ci słowo uczciwe: jak cię kocham, jak twoje dzieci kocham, a wierz mi, że to jedyne moje ukochanie na świecie. Wierzysz?

— Wierzę.

— Ale nie poprzestaję na słowie, dowód ci dam.

— Jaki?

— Otóż widzisz, kiedyś ty się łudził, ja miałam jakieś przeczucia; mnie dziwne się wydały te pogłoski i ten nagły afekt dla Zosi. Póki był biedny, nie starał się o nią, naraz, mając dostać sukcesyę, zakochał się szalenie. O, gdyby istotnie wielki majątek na niego miał spaść, wielka fortuna, to onby na twoją córkę nie patrzył! Paniby szukał, ale nie dziewczynki skromnie wychowanej; do pałacówby poszedł, nie do zwyczajnego dworku. Możeby o jaką bogatą Żydówkę konkurował. Wiedziałam, że moje słowo pana brata nie przekona, bo choć opowiadacie dziwne rzeczy o kobiecym uporze, ale ja mam to przekonanie, że upór męski przeszedł dziesięć kobiecych, postarałam się przeto o dowód.

— Jakim sposobem?

— Posłałam kogoś na miejsce, aby obejrzał to nadzwyczajne dziedzictwo i dowiedział się, ile ono warte

— Zapewne użyła pani siostra jakiego Żyda?

— Nie, panie bracie, posyłałam dziada, Błażeja Pokrzywę. Dowlókł on się na miejsce, wszystko zbadał i spenetrował doskonale, ze szczegółami najdrobniejszemi i obszerną relacyę mi zdał. Przyjdzie

on tu jeszcze dzisiaj po południu, może brat zechce go wybadać i rozmówić się z nim. Warto, doprawdy. No, powiedziałam już wszystko, zrobiłam, co do mnie należało, odchodzę; niech się pan brat zastanowi i niech postępuje dalej, jak uważa.

Z temi słowy ciotka Gertruda wyszła. Borecki pozostał sam w pokoju. Doznawał on bardzo przykrych wrażeń, bo i plany względem córki, jakie zaprojektował sobie i ułożył, obracały się wniwecz — i zawód doznany go bolał.

Borecki polubił młodego dzierżawcę, a wyobrażał sobie, że będzie miał z niego pociechę; nie mając syna, pragnął mieć zięcia według swej myśli i mniemał, że właśnie Różański takim synem przybranym dla niego się stanie.

Słowa siostry rozwiały złudzenia. Borecki marszczył się, targał wąsy, wreszcie przez otwarty lufcik zawołał na stangreta, żeby odjechał do stajni i konie wyprzągł. Następnie schował do biurka gruby, dobrze naładowany pugilares i poszedł do zwykłych swoich zatrudnień, na folwark.

Podczas obiadu był milczący, jak grób. Do siostry i do córek nie przemówił ani słowa, prawie nic nie jadł i zaraz po obiedzie w pole poszedł.

Za bramą spotkał Błażeja, wlokącego się do dworu.

Sam go zaczepił i ze dwie godziny na skwarze słonecznym z nim rozmawiał.

Ludzie folwarczni, widząc to zdaleka, wydziwić się nie mogli, o czem pan, zazwyczaj małomówny, może z takim dziadem, obieżyświatem, tak długo rozmawiać?

Tegoż dnia wieczorem ciotka zawołała Zosię do siebie i, uściskawszy ją, rzekła:

— No, winszuję pannie, jesteś nareszcie swobodna. Nie wyda cię ojciec.

— O, moja ciociu jedyna!

— Nie dziękuj, niema za co. Tak się stało, bo tak musiało się stać.

— Więc już, ciociu, on nigdy tu nie przyjedzie?

— Tak przypuszczam.

— I nie będzie mnie prześladował swojemi czułościami?

— Chyba przez imaginacyę...

— Ciociu, proszę cioci...

— Ciekawam, czego jeszcze chcesz?

— Czy, proszę cioci, ja... to jest, moja ciociu, niech się ciocia nie gniewa...

— Ależ czego, o co?

— Czy ja mogę myśleć o...

— Ile ci się tylko podoba.

Z okrzykiem radości Zosia rzuciła się ciotce na szyję i zaczęła ją ściskać i całować.

— Co robisz, waryatko! —zawołała stara panna, wyrywając się z objęć siostrzenicy. — Roztrzęsiesz starą ciotkę, a w takim razie, któż cię ze złej przygody wyratuje, co?

Na drugi dzień w ogródku, w którym pracowały panienki, było bardzo wesoło, coraz to słychać było śpiew, żywą rozmowę, wybuchy srebrnego śmiechu.

Niby ptaszki, wypuszczone z klatki na wolność, radowały się siostry; ciotka, patrząc na nie, uśmiechała się tryumfująco; tylko pan Borecki smutny był i zamyślony. Nie bolała go już strata korzystnych widoków materyalnych dla dziecka, lecz to mu było przykro, że zawiódł się na człowieku, do którego taką powziął sympatyę.

ROZDZIAŁ VI,

o Berku Dyszlu, sławnym woźnicy czarnobłockim, tudzież o bardzo przyjemnej majówce, na której królowała piękna Małka.

Ponieważ w Czarnembłocie wszystko było znakomite, wspaniałe i sławne, przeto i główny furman nie mógł być ladajaki. Byli wprawdzie podrzędni, ordynaryjni, zwyczajni, jak naprzykład Chune Drąg, Lejbuś Maźnica, Gdal Błotnik, ale prym wśród nich trzymał Berek Dyszel.

On miał najwięcej koni, on miał wozy, przysposobione do kursów pasażerskich lekkich, lub towarowych, chociaż najczęściej urządzał pociągi mieszane, w tem słusznem przekonaniu, że towar nie przeszkadza osobom, ani osoby nie szkodzą towarowi. Czasem, gdy chodzi o nadzwyczajny pośpiech, Berek Dyszel umiał wyspekulować ekwipaż lekki, a jednak tak pakowny, że mogło w nim siedzieć wygodnie ośmnaście osób, nie licząc właściciela, a swoją drogą, jeżeli w czasie podróży trafił się przygodny pasażer, to i dla niego znajdowało się miejsce dość wygodne, na drążku, lub w kielni, napełnionej sianem.

Do takiego ekwipażu, na żądanie podróżnych, Berek dodawał budę płócienną na drewnianych obręczach i, trzeba mu oddać sprawiedliwość, dodatkowej opłaty za to już nie wymagał.

Głównie bryka Berka odbywała kursa pomiędzy Czarnembłotem a stacyą drogi żelaznej, gdy jednak trafiło się żądanie na drogę boczną, do Kopytkowa na jarmark, albo też na wieś gdzie niedaleko,

Berek, wytargowawszy możliwie dobrą zapłatę, wypuszczał ekstra-pociąg.

Uprzejmością Berek Dyszel nie odznaczał się. nawet był trochę gburowaty i nie miał delikatnego, politycznego wychowania, ale posiadał praktyczny rozum; znał się na koniach, wiedział, gdzie i po czemu owies, gdzie niedrogie siano i który kowal robi najlepsze podkowy.

Umiał też przepowiadać pogodę i, jeżeli spodziewał się deszczu, to można było być pewnym, że deszcz będzie.

Koni posiadał trzy, ale lubił się chwalić, że ma ich aż dwanaście.

— Proszę rachować — mówił — kary koń, biały koń i kasztanowaty koń, to trzy; ślepy koń, spleczony koń i dychawiczny koń — to sześć; wielki koń, średni koń i mały koń, to już dziewięć; a leniwy koń, gorący koń i znarowiony koń — to dwanaście...

W rachunku tym fałszu nie było, lecz szczera prawda, od karego aż do znarowionego.

Jednego dnia wieczorem, Berek siedział na progu przed swoją izbą, palił fajkę i rozmyślał, gdy przybiegł do niego zadyszany Mojsie Fisch.

— Dobry wieczór wam! — rzekł.

— Dobry rok!

— Jedziecie jutro na kolej?

— Co wam do tego?

— Chcę wiedzieć. Czy nie wolno zapytać?

— Owszem, wolno; komu innemu nie powiedziałbym ani tak, ani siak, wam jednak powiem: ja jutro do kolei nie jadę, aż dopiero pojutrze.

— To bardzo dobrze, ja wam nastręczę zarobek.

— Naprzykład?

— Zawieziecie kilka osób do Zatraceńca. Trzeba wyjechać rano, ażeby tam stanąć na dziesiątą, a najwyżej na jedenastą. Interes jest terminowy i dlatego przychodzę do was, bo jesteście znani w całem mieście, jako człowiek w swoim fachu grubo honorowy i akuratny.

— To prawda jest. Ja wolę ochwacić konia, aniżeli mieć feler na honorze. Do Zatraceńca jest dwie mile drogi i miejscami piasek. Kogo mam tam zawieźć?

— Parę osób...

— Naprzykład?

— No, ja, moja żona, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, Nuchim Grynszpan, Mordko Ryps, jego żona też, Chaim Berek Zastawnik, Nikiel Smutny, Judka Migdał, Judkowa także, Szulim Łokciowy i może jeszcze parę pasażerów.

— Co ma być w Zatraceńcu, wesele?

— Trochę zgadliście, trochę nie; nie będzie wesele, tylko licytacya i radzę wam wziąć z sobą cokolwiek pieniędzy; będziecie mogli kupić tanio bardzo porządnego konia. Zgódźcie wy się ze mną za tę furmankę hurtem. Ja od was wynajmuję i dobrze wam zapłacę, trzy ruble, jak jeden grosz, a gdy powrócimy szczęśliwie, poczęstuję was dużym kieliszkiem mocnej, sprawiedliwej wódki. Znacie trochę mój honor.

— Ja wam coś powiem, Mojsie — odrzekł Berek — idźcie wy z waszym hurtem, honorem i kieliszkiem wódki do pierwszego lepszego rowu i złamcie sobie nogę.

— Tfy! Co wy za grubianin jesteście! Nie potraficie powiedzieć kilka wyrazów bez przekleń-

stwa! Prawdziwie bałagulska natura i paskudne przyzwyczajenie.

— Jak wam się nie podoba bałaguła, to idźcie do zegarmistrza; niech on wam da porządną furę do wyjazdu.

— Co będziemy próżno klektali, zgodzicie się hurtem, czy nie?

— Albo ja waryat? Chcecie, żebym za trzy ruble zawiózł wszystkich Żydków z miasta do Zatraceńca? Berek nie jest głupi. Zgódźcie się od osoby, a jeżeli nie, to idźcie sobie złamać obie nogi!

— Szkaradna gęba! Po czemu chcecie? Mówcie, jak człowiek!

Berek wymienił liczbę, Mojsie podzielił ją przez trzy — i obydwaj natychmiast skoczyli sobie do oczu, a potem besztali się nawzajem z przyzwoitej odległości. Mojsie dorzucił pięć procent; Berek tyleż opuścił, i tak postępując, opuszczając znowuż, zbliżyli się jeden do drugiego, aż wreszcie nastąpiła zgoda zupełna.

Stanęło na tem, że nazajutrz rano, skoro tylko dzień się zrobi, Berek z furą, zaprzężoną w trzy konie, zajedzie przed „Zielonego łabędzie“, gdzie całe towarzystwo oczekiwać będzie.

Nazajutrz ranek był prześliczny, słońce jaśniało wspaniale. Czarnebłoto kąpało się w blaskach. Uszer Engelman mówił, że mało w życiu swojem widział dni tak pięknych i rozkosznych, ale też nie codzień bywa święto i nie codzień licytacya.

Aczkolwiek nie handlujący i prawie wyłącznie myśleniu i księgom oddany, Uszer postanowił jednak pojechać do Zatraceńca. Skłaniało go do tego kilka chęci, a mianowicie: chęć użycia przejażdżki przy pięknej pogodzie i w dobranem towarzystwie, chęć zabawienia się na takim przyjemnym widowisku, ja-

kiem jest każda licytacya wogóle, i wreszcie chęć kupienia jakiego przedmiotu tanio i spieniężenia go następnie, tak, aby opłaciły się koszta podróży i parę rubli poozstało w zysku.

Kapitał, na ten cel potrzebny, dała sama pani Uszerowa, ale nie dowierzając zdolnościom finansowym swego małżonka, prosiła Małki, żeby rozciągnęła nad Uszerem kontrolę i nie pozwoliła mu ani hazardować za wiele, ani też nabywać takich przedmiotów, których zbyt nie jest pewny.

Małka przyrzekła, że mieć będzie nad całą działalnością Uszera baczne oko i że Mojsie Fisch nie odstąpi go ani na krok. Wprawdzie Mojsie Fisch nie jest to wielka głowa do interesu, ale obadwaj, razem wzięci z Uszerem, znaczyć mogą tyle, co pół porządnej głowy, a bystre oko Małki dopełni reszty — i z tych dwóch głów i tego bystrego oka zrobi się jedna głowa; niewielki cymes, nie nadzwyczajność, ale taka oto sobie, średnia głowa żydowska.

Kiedy Berek zajechał przed „Zielonego łabędzia“, była godzina siódma rano. Zanim pasażerowie zebrali się, zanim opłacili Berkowi należność za jazdę, zeszło do godziny ósmej.

Wystąpiły na porządek dzienny kwestye wytartych trojaków, fałszywych dziesiątek, był gwałt lepszy, niż na jarmarku, ale jakoś ułożyło się przecież.

W każdym interesie musi być trochę sprzeczki, a potem, jak już sprzeczka przeminie, nastaje zupełna zgoda, harmonia i grzeczność.

Kilkanaście osób pomieściło się na lekkim ekwipażu Berka. Nie było im zbyt przestrono, owszem, mogli się nawet skarżyć na ciasnotę, ale tę małą niedogodność wynagradzało sowicie przyjemne towa-

rzystwo, w każdej wogóle podróży bardzo mile i bardzo chętnie widziane.

Berek, policzywszy w myśli, ile jest osób i skombinowawszy w pamięci, czy wszystkie należność opłaciły, zdjął koniom torby ze łbów i, wziąwszy lejce do ręki, wgramolił się na przodek wasąga, poczem, obejrzawszy się uważnie po za siebie w celu sprawdzenia, czy jaki bezpłatny pasażer i licytant z tyłu wozu się nie przyczepił, śmignął konie biczem i fura potoczyła się po nierównym bruku.

Do samej rogatki siedząca na wozie publiczność zachowywała się cicho, dlatego, że Berek, chcąc pokazać swoją sztukę, ruszył z miejsca bardzo ostro, skutkiem tego zrobił się niesłychany turkot i takie trzęsienie, że każdy pasażer o tem tylko myślał, jakim sposobem na wozie się utrzymać.

Dopiero za rogatkami, gdy fura znalazła się na piasczystym gościńcu, a rozpędzone konie utraciły już swój nadzwyczajny fajer, zaczął się przyjemny dyskurs, w którym całe towarzystwo żywy brało udział.

Pani Rypsowa, utrzymująca sklep towarów łokciowych, kobieta pospolitego umysłu, o szpetnej twarzy, ale bardzo zazdrosna i złośliwa, odezwała się do Małki:

— Dla pani ta dzisiejsza podróż zapewne przyjemną nie jest?

— Z jakiej racyi ma być dla mnie nieprzyjemna? — odrzekła Małka. — Chwała Bogu, ciepło jest, słońce świeci, a fura Berka jest tak bardzo wygodna, że nietylko ja, młoda, ale nawet stare, plotkarstwem tylko zajęte baby, mogą na niej jechać, bez niebezpieczeństwa dla swoich delikatnych kości.

— Ślicznie pani Małka powiedziała i niema się czemu dziwić. Taka ładna buzia sławna jest na ca-

le Czarnebłoto, a nawet na szeroką okolicę. Ha! ha! O takiej buzi dużo mówią, a skoro o niej mówią, to i ona także chce swoją sztukę pokazać.

Małka nie pozostała dłużną w odpowiedzi.

— Różne są buzie na świecie — odrzekła — jedne ładne, kto na nie spojrzy, to mówi; inne brzydkie i o tych nikt nie mówi, bo nie ma czasu.

— Jakto nie ma czasu?

— Gdyż spojrzawszy na taką, musi przedewszystkiem... splunąć.

Wszyscy podróżni wybuchli śmiechem, a pani Rypsowa wpadła w pasyę i zaczęła miotać straszne przekleństwa. Przytem twarz jej, rzeczywiście niebardzo piękna z natury, wydawała się przerażającą.

— Żmijo!

— Gadzino!

— Ty, wspólniczko szatańska!

— Ty stara czarownico! Oby twój język zmienił się w kołek drewniany!

— Widzieliście ją!

— Cicho, cicho! — wołał Jankiel Bas.

— Uspokójcie się, to niepięknie jest! — reflektował Uszer Engelman.

— Ona taka harda, że jedzie do swojego puryca! — wrzeszczała na cały głos pani Rypsowa.

— Dość, dość już!

— Jakto? W porządnem towarzystwie, jadąc na bryczce, robić takie breweryę!

Berek wdał się w sprawę.

— Kto — zapytał — zapłaci mi za to, że moje konie od tego wrzasku ogłuchną?

— Cicho! cicho, sza!

Z wielkim trudem udało się uspokoić wzburzo-

ne umysły. Na szczęście z bocznej drogi od Kopytkowa nadjechała także fura, pełna Żydów.

— Dokąd jedziecie?

— Do Zatraceńca.

— I wy także?

— Co chcecie? Pan Bóg daje licytacye dla wszystkich.

— Prawda, ale spodziewamy się, że nie zechcecie nam psuć interesu?

— Niema o czem mówić, zróbmy współkę.

— Zróbmy współkę — rzekł Jankiel Bas. — Tak postępowali nasi dziadkowie, nasi ojcowie, tak należy robić i nam. Jakie są wasze warunki, ile chcecie zarobić?

Na obydwóch furach zrobił się taki wrzask, iż nie można było dojść, o co chodzi.

Jankiel Bas wrzeszczał na całe gardło:

— Cicho, cicho, powoli! Niech jeden mówi. Kto jest u was główny macher do tego interesu?

— Icek Szpindler.

— Bardzo dobrze, owszem. Szpindler jest znany, jest osoba, niech Szpindler złazi z fury.

— Niech Jankiel złazi też.

Dwaj delegaci wygramolili się z wozów i zaczęli pertraktacye na stałym gruncie, na piasku.

Narada trwała niedługo; w kwadrans stanęła ugoda i następnie dwie fury, niby dwa wielkie okręty, popłynęły po piasku, w stronę Zatraceńca.

Uszer Engelman odezwał się do Mojsia, że wycieczka na licytacyę jest bardzo przyjemna, o ile swarliwe niewiasty nie psują jej uroku.

Odrzekł na to Mojsie, że sama wycieczka, sama podróż to jest nic, w porównaniu z rozkoszą, jaką daje licytacya.

— Obaczycie — rzekł — i przekonacie się, że to jest zabawa o wiele lepsza, niż wesele...

Gdy fury wjechały na dziedziniec w Zatraceńcu i zatrzymały się przed dworkiem, cała gromada pasażerów wnet rozsypała się po pokojach, po zabudowaniach, po folwarku.

Opozycya służby niewiele pomogła, bo świat handlowy czarnobłocki i kopytkowski, gdy idzie gromadą, odznacza się wielką śmiałością i odwagą.

Nieproszeni goście wtargnęli do stajen, do obór, do pokojów, oglądali inwentarz, meble, drobiazgi.

Różańskiego nie było. Pojechał on raniutko do trzeciego miasteczka, w nadziei, że choćby na najgorszych warunkach dostanie pieniędzy i zażegna katastrofę, ale doznał tego samego losu, co Rokita i Wasążek: mówić z nim żaden kupiec nie chciał, wszyscy odsyłali go do Jankla Basa i Małki.

Zrozpaczony powracał do domu, a pędzić kazał, co koń wyskoczy, bo mu się zdawało, że może jeszcze w ostatniej chwili zajdzie jakaś okoliczność nadzwyczajna, stanie się cud.

Kiedy stangret osadził spienione kasztanki przed domem, przystąpił z wielką powagą Berek Dyszel i, ująwszy jednego z nich za chrapy, chciał mu w zęby zajrzeć. Przestraszony koń stanął dęba, a stangret krzyknął na Berka:

— Ustąp!

— Ty sam ustąp, gałganie jeden, ty parobku! — wołał Berek — To moje konie! Dlaczego je tak zmęczyłeś, paskudniku?

Różański zirytowany, blady, zeskoczył z bryczki i pochwycił Berka za brodę. Na szczęście, znajdujący się w pobliżu kasyer zarządu dóbr, który z obowiązku na licytacyę przybył, wziął młodego człowieka na stronę.

— Panie — rzekł — nie irytuj się napróżno. To ci już, biedaku, nic nie pomoże. Niech zaczynają, a im prędzej się to skończy, tem lepiej. Wybacz pan, że ja tu jestem, ale rozumiesz... obowiązek.

Różański wpadł do mieszkania. Na kanapie siedziała Małka, na fotelach, na krzesłach różni kupcy. Szwargotali oni bardzo wesoło, palili fajki i cygara, plując bez ceremonii na świeżo wywoskowaną posadzkę.

Młody człowiek odwołał Jankla na stronę. Coś mu długo szeptał, przekładał, ale Żyd obojętnie słuchał; w końcu wzruszył ramionami i rzekł:

— To dla mnie żaden interes. Pan ma tylko dwa sposoby: albo zapłacić wszystkie pretensye, albo dać sprzedać ruchomości.

— Więc niech sprzedają!

Spostrzegłszy Małkę, młody człowiek wydał okrzyk zdziwienia.

— I pani tutaj? Pani?

— Dlaczego ja nie mam być tutaj? Panu należy się ode mnie dawno wizyta.

— A, doprawdy miałem panią za coś lepszego, niż ta hałastra!

— Pan się myli, to nie jest żadna hałastra, to wszystko porządni ludzie i obywatele. Naprawdę, pan sobie zadużo pozwala... Że ktoś przyjeżdża odebrać swoją należność, to ma być hałastra?

— Widzę, że pani jesteś taka sama!

— Proszę mi nie ubliżać! Pan dobrze wiesz, kto ja jestem!

— Szelma pani jesteś i dość na tem!

Piękna Małka narobiła takiego wrzasku, że ją ledwie uspokojono, zaś pani Rypsowa zrobiła delikatną uwagę, że nawet taki goj, taki kapcan, które-

go licytują, może wymówić jednak mądre i pełne prawdy słowo.

Zaczęła się sprzedaż.

Ponieważ w pokojach strasznie panowie licytanci nadymili, przeto wyrzucono ich na dwór. Urzędnik, prowadzący licytacyę, kazał postawić stolik na ganku, woźny ulokował się na wysokiej ławie, a wójt, przy pomocy sołtysa, utrzymywał porządek, przemawiając łagodnie, ale zarazem stanowczo:

— Nie pchajta się, cygany jedne! Odstąpta, łajdaki! Naźreta się jeszcze dość cudzej krzywdy!

Ponieważ Mojsie Fisch, usłyszawszy okrzyk: „Kto da więcej“ — poczuł w sobie przebudzonego lwa i zaczął się okropnie rzucać, sołtys żelazną łapą ujął go za kołnierz i jak kociaka wyniósł z pośród gromady.

Biedny Mojsie i pożałowania godzien!

Ordynaryjny chłop zepsuł mu pierwszy smak uczty i odepchnął go od głównego stołu; ale przebudzony lew ma siłę i niełatwo daje się pokonać, to też Mojsie obiegł gromadę dokoła i, wypatrzywszy miejsce stosowne, wśliznął się znowu, jak wąż, aż do samego stołu.

Małżonka jego, trzykrotnie obrażona w tym dniu, z czarnych źrenic miotała pioruny. Była na obliczu czerwona, jak krew, chwilami zacinała usta i przygryzała je ze złości, to znów z gardła jej wydobywały się jakieś dźwięki chrapliwe, w których drgała chciwość i zemsta.

Mojsie, spojrzawszy na swoją małżonkę, przekonał się dopiero, jaka to piękna i niebezpieczna zarazem kobieta.

Licytacya szła doskonale i prędko.

Z wielkim ogniem i zapałem kupcy czarnobłoccy i ich wspólnicy z Kopytkowa dorzucali po kilka,

kilkanaście groszy; a kiedy Jankiel Bas szepnął „sztyle“ — delikatne to słówko, niby iskra elektryczna, obiegało wszystkich obecnych i zaraz robiła się głucha, grobowa, cisza, aż dotąd, dopóki woźny nie wykrzyknął:

— Po raz trzeci!

Po raz trzeci i ostatni! Na to hasło robi się znowu wrzask piekielny; do stołu przybliżało się dwóch, trzech, czterech wspólników, wydobywali z pugilaresów pieniądze, liczyli je, a tymczasem inni rzucali się do pokojów, chwytali kupione graty i wynosili je na dziedziniec.

Nie obeszło się przytem bez kłótni, szturchańców i interwencyi sołtysa, który wyrazów zbyt wyszukanych nie dobierał, a i kułakiem sobie pomagał, żeby jaki taki porządek utrzymać.

Znowuż rozlegał się głos woźnego i znowuż krzyk, rzucone szeptem „sztyle“ — cisza grobowa, „po raz trzeci i ostatni!“ — nowy napływ tej fali burzliwej do wnętrza dworku, hałaśliwe wynoszenie sprzętów, gruby bas sołtysa.

Różański nie mógł znieść tego widoku. Uciekł do ogrodu; niech się dzieje, co chce, niech biorą, grabią — wszystko skończone, ratunku niema żadnego.

Usiadł na ławce, oczy rękami zasłonił i nieruchomo siedział, zgnębiony, smutny, w najczarniejszych pogrążony myślach.

Przed oczami jego wyobraźni przemknęła urocza postać Zosi. Czemuż nie przestąpił wcześniej progu cichego dworku w Brzozówce, czemu nie szedł drogą prostą, bez obłudnej maski na twarzy?... Wszystko, wszystko byłoby się ułożyło inaczej.

A teraz co? Co teraz? Kawałek ołowiu w skroń i koniec życia, czczego, pustego, niepożytecznego nikomu. Jedna chwila i po wszystkiem.

I na cóż tę chwilę odwłóczyć, na co czekać jeszcze, czego się spodziewać? Alboż jest inna droga wyjścia?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, czyjaś ręka dotknęła lekko jego ramienia.

Otworzył oczy Przed nim stał kasyer dominialny, siwy, przygarbiony trochę staruszek. Stał i patrzył na niego oczami wilgotnemi, jakby od cichej łzy współczucia.

— Szukam pana umyślnie — rzekł starowina.

— Czy podpisać mam co? Czy już koniec?

— Nie, panie; tamto jeszcze z godzinę potrwa, ja przyszedłem z panem pomówić. Pozwolisz, że usiądę; stare nogi wymawiają posłuszeństwo. Jam, widzisz, przyszedł do ciebie, bo w takich chwilach niedobrze być samemu. Nie dziw się i nie gniewaj, że tak poufale przemawiam, panie Różański. Ja mógłbym ojcem twoim być. Widziałeś mnie wśród tej zgrai, która tam ostatki twego mienia rozgrabia; przyszedłem tak samo, jak oni, aby cię egzekwować. Żalu o to do mnie nie miej, spełniam bowiem tylko obowiązek.

— Ja też do pana żadnej nie mam pretensyi, ani urazy.

— Mój panie, pozwólże mi mówić dalej. Co robić dziś z sobą zamierzasz?

— Nie wiem jeszcze, nie myślałem, nie mogłem myśleć...

— Za parę godzin zostaniesz samotny, wśród pustych kątów i ogołoconych ścian, a samotność w takich chwilach to niedobry towarzysz.

— Ja chcę wyjechać do Warszawy, a może... nie wiem, ja nic nie wiem. Panie, dziękuję ci za twoją dobroć, ale zostaw mnie w spokoju.

— Tego zrobić nie mogę, nie opuszczę cię. Pojedziesz do nas.

— Jakto do nas?

— Do mnie i do mojej żony. Starzy jesteśmy, pocieszać może nie potrafimy, ale postaramy się, aby cię ukoić, może radę dobrą damy, może coś obmyślimy, może, albo ja wiem? Nie gardź szczerem sercem, niech ci się zdaje, że to ojciec z matką chcą cię do piersi przycisnąć i podtrzymać, żebyś nie upadł.

Te proste słowa szarpnęły Różańskiego za serce. Więc są jeszcze ludzie. Rzucił się w ramiona staruszka i zapłakał.

— Panie, panie, jakim ja nieszczęśliwy! Panie, com ja stracił!...

— Uspokój się, straciłeś bardzo niewiele, a pozostało ci zdrowie, młodość, siła. Wierz mi, mój drogi, że niejeden bogacz wszystkie skarby swoje oddałby za to, a ty rozpaczasz i ręce opuszczasz. Ja ci nauk dawać nie chcę, gdyż w tej oto chwili życie, ten najlepszy nauczyciel, daje ci bolesną lekcyę. Tyś się po niej odrodzić powinien; pójść w świat przebojem. Nie żałuj tego, co zostawiasz za sobą — idź, pracuj. Powtarzam ci, że skarby posiadasz, boś młody, boś silny, a, przepraszam cię najmocniej za wyrażenie, po dzisiejszych przejściach, będziesz zapewne i rozumny. No, posłuchaj starego, tu już nie siedź, masz dość tego widowiska. Bryczka za ogrodem stoi, siadaj i jedź. Żona moja oczekuje cię, a ja, jak się tu już wszystko skończy, przyjadę z plenipotentem razem. No, jakże, jedziesz?

— Bóg ci zapłać, panie, jadę.

— A co to masz tu w kieszeni, mój kochany?

— To... — odrzekł zmieszany Różański — to pugilares.

— Nieprawda, to rewolwer. Daj-no go, on ci niepotrzebny...

— Ale...

— No, no, nie dysputować, lecz słuchać, dawaj bracie. Zabieram go i zatrzymam, jako depozyt... I rzeczy twoje, sprzedaży nie podlegające, przywieźć każę i rachunki po powrocie załatwię, a teraz jedź...

Małka nie mogła odgadnąć, gdzie się młody człowiek podział. Szukała go wzrokiem na wszystkie strony, posyłała Mojsia, żeby go znalazł — napróżno.

Ponieważ wszyscy, zajęci licytacyą, lub przez ciekawość zwabieni, zgromadzili się przed domem na dziedzińcu, więc nikt odjeżdżającej z po za ogrodu bryczki nie zauważył...

— Gdzie się ten gałgan podział? Gdzie on się podział? — zapytywała męża.

— Albo ja wiem? Przepadł, może go już dyabli wzięli?

— O, aby jeszcze nie teraz!

Mojsie drgnął.

— Słuchaj-no, Małciu — rzekł — skoro przyjechałaś na licytacyę, to trudnij się kupowaniem ruchomości, ale nie ucz dyabłów, kiedy mają brać takich puryców. Na to nigdy nie zawcześnie, a nie twoja głowa do tego, żebyś im miała terminy wyznaczać.

— Ty, Mojsie, głupi jesteś! — rzekła ze złością. — W twojej pustej głowie nie może się nic mądrego zmieścić.

I w rzeczy samej Mojsie za głupi był na to, aby zrozumieć, o co Małce chodziło. Ona przecież nabyła garnitur mebli, ten sam, który Różański przeznaczył do pokoju przyszłej swojej żony. Pani Ró-

żańska miała na tych fotelach siadywać — otóż nie, nie i nie!

Zasiadać na nich będzie Małka i Mojsie, skakać po nich ma i bujać się na sprężynach synek Małki. Ona się już na nich rozsiada.

Kazała wynieść cały garnitur na dziedziniec, postawić go na samym środku, usiadła, a raczej położyła się prawie na kozetce. Kołysze się na nowych, mocnych sprężynach i rzuca oczami na wsze strony, czy z dworku, z ogrodu, lub ze stajni nie wyjdzie Różański. Ona pragnie go widzieć i upokorzyć, poniżyć, ma nawet dla niego parę słów takich, któreby mu z lichwą zapłaciły za rzuconą przed kilkoma godzinami obelgę.

Licytacya idzie dalej w najlepsze, a Małka wciąż siedzi i czeka. Mojsie wydziwić się nie może, skąd nagle jego żonę napadło takie dziwne, takie szczególne lenistwo!

Tam sprzedają miedź, samowary, takie rarytne rzeczy, a ona siedzi; licytują lampy, na które miała ochotę — ona siedzi; przychodzi kolej na dywany, wymawiała sobie, żeby ich nikt nie licytował, tymczasem siedzi, wciąż siedzi i czeka. Mojsie przybiega, targa ją za rękaw i woła:

— Małka, dywany!

I słyszy odpowiedź:

— Idź do dyabła!

— Ale dywany, słyszysz, teraz są dywany!

— U mnie teraz majówka, ja sobie odpoczywam.

— Ale dywany! Tam nie licytują, miałaś kupić!

— Idź, kup i daj mi pokój!

Kto kobietę zrozumie? Kto zgadnie, jaki figiel za jej pośrednictwem wyrządzi szatan? Słusznie

mówi Uszer Engelman, że taka, co ma dwanaście lat, już nie wzbudza zaufania, a taka, co ma pięć razy po lat dwanaście, jeszcze ufnością natchnąć człowieka nie może; dorzuć jeszcze raz dwanaście lat, i także nie możesz być pewnym swego.

Oh! Uszer Engelman, on zawsze pięknie i rozumnie mówi, a gdyby go kto zapytał, dlaczego Małka, zamiast licytować, pokładała się na kozetce, odpowiedziałby, że to jest nowy figiel szatański.

Sprzedano dywany — kupił je Mojsie, sprzedano resztę sprzętów domowych — nabyła je Rypsowa, sprzedano konie — kupił je prawie wszystkie Jankiel Bas, prócz jednego, nabytego przez Berka Dyszla. Piękne woły, dojne krowy i owce wzięli za bezcen rzeźnicy z Kopytowa; uprząż, wozy, narzędzia rolnicze zabrali za psie pieniądze obywatele czarnobłoccy, gdyż sąsiadów gospodarzy na licytacyi nie było, a chłopi, pomimo namawiania, kupować nie chcieli.

— Nie gospodarska rzecz — mówili — na cudzej biedzie się dorabiać. Nie zarodzi rola, takim płużkiem orana!

Licytacya skończyła się, a Małka nie zeszła z kozetki; przybierała coraz to inne pozy, a oczy jej biegały na wszystkie strony.

— Gdzie on jest? — pytała męża. — Idź zaraz, dowiedz się, gdzie on jest?

— Na co on ci potrzebny?

— Na co? On mi w tej chwili tak jest potrzebny, jak głodnemu chleb, jak nędzarzowi pieniądze. On tu musi być zaraz!

— Małka! — krzyknął Mojsie groźnie — albo ty jesteś wielka szkaradnica, albo dostałaś nagle waryacyi.

— A! tak ci się zdaje, a ja chcę, żeby on tu

był, żeby widział swemi oczami, że jest zdeptany, jak robak; żeby usłyszał ode mnie, że jest łobuz, kapcan i niewart złamanego szeląga, żeby...

— Co ci z tego? Odebrałaś swoje pieniądze, to się ciesz pieniędzmi. On i bez twego powiedzenia wie, że jest kapcan i niewart złamanego szeląga.

Wzruszył ramionami i odszedł, mrucząc gniewnie:

— Dziwna to kobieta, nawet w złości. Chce mu powiedzieć wielką nowinę: że taki, co nie ma grosza, jest kapcan.

Skończyła się wreszcie licytacya. Świeżo odnowiony dworek wyglądał, jak po pożarze; powynoszone rzeczy leżały na ganku, na dziedzińcu, na schodkach.

Urzędnik, prowadzący sprzedaż, odjechał; chłopi rozchodzić się zaczęli. Pozostał tylko wójt, sołtys i oficyalista z zarządu dóbr, mający objąć folwark w administracyę, do czasu przybycia nowego dzierżawcy.

Wójt był w złym humorze, tembardziej, że jeść mu się chciało ogromnie, pragnął więc jak najprędzej czynność swoją ukończyć.

— No, dalej, Żydy! — wołał — ruchajcie się, zabierajcie, co wasze, i jedźcie! Nie będę tu dla was do nocy stojał!

— Co to „Żydy?“—rzekła Małka. — Pan wójt sobie zadużo pozwala. Pan wójt nie jest żadna osoba, tylko zwyczajny chłopski wójt.

— A juści! A Małka jest Żydowica!

— Ja sobie nie dam ubliżyć! Ja kupcowa jestem!

— Ale Żydowica!

— A wy jesteście cham, proste chłopisko, bez żadnej delikatności!

— Idź ty z gębą, bo będzie źle!

— Małka, gaj weg! — zawołał Mojsie i, zwracając się do wójta, dodał: — Niech się pan wójt nie gniewa, moja żona ma taki feler, że czasem niewiadomo o co złości się.

— Pewnie ją jaki robak ukąsił.

— Albo ja wiem? Może robak, różne przytrafienie się trafia na świecie.

— Insze bydlę — dorzucił sentencyonalnie sołtys — a najbardziej krowa, jeżeli ją giez utnie, to się zara gzi...

Mojsie splunął i małżonkę swoją ku rzeczom odciągnął.

Trzeba było furmanek, żeby kupione ruchomości zabrać. Chłopi swoich koni wynająć nie chcieli, ale były konie i wozy nabyte na licytacyi; był Berek Dyszel ze swoją furą, do której czwartego rumaka, swieżo nabytego, zaprzągł; był furman z Kopytkowa, dał swój wasąg Jugiel pachciarz i zaczęło się pakowanie z wielkim krzykiem, targowaniem się, kłótniami...

Nabywcy wozów i koni na poczekaniu przedzierzgnęli się w furmanów i zaraz chcieli mieć dochód.

Już się słońce dobrze ku zachodowi zniżyło, gdy wozy, obładowane rzeczami i ludźmi, wyjechały z dziedzińca.

Towarzystwo z powodu większej ilości furmanek, podzieliło się na mniejsze grupy, a Małka mogła skutkiem tego uniknąć niemiłego dla niej sąsiedztwa pani Rypsowej.

Uszer Engelman zachwycony był licytacyą i, siedząc na furze Berka, oddawał się bardzo poważnym rozmyślaniom na ten temat.

Mojsie, zmęczony fizycznie, drzemał, a i ten

lew duchowy, co się w nim był rano przebudził, spał teraz, jak zabity, schowawszy głęboko straszne swoje pazury.

Gorący, parny dzień zbliżał się do końca. Na horyzoncie ukazała się chmurka, za nią druga, trzecia i dziesiąta. Rosły i zlewały się w jedną.

Berek Dyszel spojrzał w górę i rzekł do siedzącego obok Glancmana:

— Jestem pewny, że będzie deszcz.

— W takim razie, dlaczego nie urządziliście na furze budy płóciennej?

— Możecie trochę zmoknąć, co mi to przeszkadza? Wy nawet dobrze zmokniecie, ponieważ zanosi się na burzę.

— Spieszcie, może zajedziemy przed deszczem.

— Po co mam spieszyć? Zgodziłem się, że was zawiozę do Zatraceńca i że was stamtąd odwiozę do domu. W jednej połowie już to uskuteczniłem, w drugiej mam nadzieję uskutecznić, a czy macie być przywiezieni na mokro, czy na sucho, to mi zupełnie wszystko jedno, abym was przywiózł.

Gruba, ciężka kropla deszczu spadła mu na nos i nagle, bardzo szybko zaczęło się ściemniać, a z oddalenia dał się słyszeć głuchy, przeciągły grzmot.

Na furach zrobił się popłoch. Takie kosztowne rzeczy mogły zamoknąć, damom chodziło przytem o stroje. Pani Rypsowa bowiem miała na sobie suknię jedwabną i aksamitną mantylę, bardzo starożytnego fasonu. Małka zaś nowiuteńki kostyum. Na taką licytacyę nie można było przyjechać w ladajakiem ubraniu.

Była chwila, w której zdawało się, że deszcz ustanie, a burza przejdzie bokiem, lecz przypuszczenie to nie sprawdziło się. Chmury nie ustąpiły, zro-

biła się ciemność zupełna, zerwał się wiatr gwałtowny, a potem straszna ulewa. Błyskawice ślizgały się po niebie we wszystkich kierunkach, ogłuszający huk grzmotów co chwila wstrząsał powietrze.

Berek, który jechał naprzód i prowadził całą karawanę za sobą, zatrzymał konie, pomimo protestu i krzyku swoich pasażerów.

— Jedź! — wołano na niego — czego stoisz? Czy chcesz, żebyśmy przemokli zupełnie?

— Ja też moknę.

— Co nam do tego? Moknij, kiedyś furman, ale nas wieź, prędko wieź, aby do miasta.

— Mam taki zwyczaj, że podczas burzy stoję. Jeszcze nieboszczyk ojciec mój, który też był furmanem, tak mi przykazywał. Niech to nie będzie w złą godzinę wymówione, ale widzicie i słyszycie, co się dzieje. Piorun może...

— Cicho! cicho, daj pokój! Chcesz stać—stój!

Zrobiła się cisza wśród podróżnych. Wszyscy szeptali modlitwy, aby Bóg odwrócił nieszczęście.

Rypsowa wciąż wzdychała; nie mogła ona odżałować, że puściła się w taką niebezpieczną podróż razem z Małką.

— Ja wiem — mówiła do swoich sąsiadów na wozie — wiem, gdzie jest przyczyna burzy, co nam przynosi nieszczęście. Ta wystrojona lalka, ta wspólniczka szatana, ściągnęła burzę, oby na nią samą spadła!

Jęki i lamenty pani Rypsowej przeszły bez wrażenia, każdy bowiem o sobie tylko myślał, o siebie się bał — i w śmiertelnej trwodze zeszła prawie cała godzina. Wreszcie deszcz ustał, niebo wypogodziło się i, na hasło Berka, karawana wozów pociągnęła dalej ku Czarnemubłotu.

O ile wyjazd był bardzo wesoły, o tyle powrót smutny.

Dużo rzeczy uszkodziło się i przemokło, a bohaterowie, zajęci suszeniem spłukanej przez deszcz garderoby, nie mieli ochoty do opowiadania szczegółów, wypadków i wrażeń doznanych.

Małka była zła, jak całe piekło, Mojsie milczał, a nawet Uszer Engelman, zamiast zwyczajem swoim zasiąść przy stole i rozmyślać, udał się zaraz na spoczynek.

Nad Czarnembłotem jaśniały gwiazdy, a promienie księżyca ślizgały się po dachach mokrych i kałużach rozlanych szeroko.

ROZDZIAŁ VII,

opisujący osobliwą rezygnacyę Wasążka, oraz wielką naradę prawników czarnobłockich.

Gdy Wasążek przyjechał do Czarnegobłota w dzień targowy, zaledwie z woza zsiąść zdążył, obskoczyła go cała gromada finansistów, wśród której prym trzymali Chaskiel i Jukiel.

— Co wasan sobie myśli?! — wołał pierwszy.

— Niech wasan odda dług. Co to wasan! Wasan myśli, że wasan jest wasan, wasan nie jest wasan, tylko oszust!

Jukiel usiłował pochwycić Walentego za kołnierz, ale silny szlachcic wyciągnął rękę i zakreślił nią w powietrzu koło, na skutek czego finansiści odskoczyli i hałasowali dalej z pewnej odległości.

— Kochane Żydki — rzekł Wasążek — dwoma kijami bić nie można. Skoro prawujecie się ze

mną, to nie napastujcie, bo was poturbuję i zaskarżę do sądu o napaść na równej drodze. Lepiej rozmawiajcie po dobroci i po sprawiedliwości, to prędzej będzie jaki skutek.

— Jaki ma być skutek? Zapłać wasan!

— Oj, oj! i od tego nie odbiegam; zapłacę, tylko nie teraz, bo akurat na tę chwilę nie mam.

— No, a kiedy, kiedy wasan zapłaci?

— Żebyście byli nie szli do procesu...

— Kto do procesu chce iść? To wasan lubi się procesować, wasan jest taki amator do sądów!

— Fałsz mówicie, łgarstwo. Alboż to ja was pozywałem? Wy, wy sami! Powiadacie, że lubię procesy? Łgarstwo jest, nie lubię. Czy stawałem w sądzie? Czy nie puszczałem wszystkiego zaocznie? Czy broniłem się? Rzekłem sobie: dość, chcą pozywać, niech pozywają; chcą mnie sprzedać, zniszczyć, niech sprzedają i niszczą. Ja się bronić nie będę, nic a nic. Rzekłem sobie: przepadło i niech się dzieje, co chce!

— Jakto wasan się nie bronił? Co to za głupie gadanie jest? Wasan się nie bronił, a na co wasan narobił tyle symulacyi, tyle fałszywych sprzedaży, tyle oszukaństwa?!

— Niech-no Jukiel o symulacyach nie gada, bo to kalumnia jest. Trzeba dowieść, a jak się nie dowiedzie, to można potem cienko śpiewać.

— My dowiedziemy, my wasana wsadzimy do kozy!

— Owszem, wsadźcie!

— Sprzedamy wszystko, zniszczymy!

— Owszem, zniszczcie! Mnie już wszystko jedno!

— Wasan chyba nie wie, co było w Zatraceń-

cu? Hardy purec był, wielkiego pana udawał, teraz kapcan jest!

— Teraz go wcale niema!

— Niech wasan wie o tem, że my potrafimy pokazać swoją sztukę!

— Wiem, wiem — odrzekł szlachcic. — Wy mądrzy jesteście, znacie prawo na wylot! Ha! wola wasza, prawujcie, choć zgodnym sposobem pewniejszy skutek.

— To niech wasan zgodnie płaci!

— Jak wasza wola, ja na wszystko przystaję.

— Więc gódźmy się.

— Tu, na rynku?

— A gdzie wasan chce?

— Nie, moi kochani, zgoda musi być robiona pod dachem i przy szkle. O suchej gębie jeszcze nikt porządnej zgody nie zrobił.

— To chodźmy pod „Łabędzia".

— Owszem, idźcie, ja tam nadejdę, tylko muszę się jeszcze z jednym człowiekiem zobaczyć.

Rozeszli się.

Wasążek zniknął między licznemi wozami na rynku, Żydzi rozbiegli się w różne strony. W dniu targowym czas jest dla nich bardzo drogi, każdy ma różne interesa. Kupno, sprzedaż, rozmaite transakcye, pożyczanie pieniędzy...

Ten ostatni rodzaj spekulacyi został nagle zachwiany. Niewiadomo skąd zaczęły się rozchodzić różne plotki, takie plotki, że nawet wiary im dać trudno; ale swoją drogą czarnobłoccy kapitaliści doznawali bardzo niemiłego wrażenia, tem więcej, że owe bajki, zamiast zmniejszać się i cichnąć, rosły. Powtarzano je nietylko w Czarnembłocie, ale i w Kopytkowie i we wszystkich okolicznych miasteczkach.

Berek Dyszel zapewniał, że mówili o nich bar-

dzo solidni kupcy na stacyi kolei żelaznej, a Mojsie Fisch, powróciwszy z Warszawy, dokąd jeździł w celu zakupu towarów, przywiózł wiadomość, że na Franciszkańskiej o tem tylko mówiono. To było najgorsze, że wszyscy mówili, iż coś ma być, ale właściwie nikt nie wiedział, co mianowicie.

Takie nieokreślone przykrości są właśnie najgorsze; człowiek, nie wiedząc, czego ma się spodziewać, nie może przygotować dostatecznych środków obrony. Glancman postanowił poświęcić się dla dobra ogółu i pojechać do gubernialnego miasta, aby tam zasięgnąć języka.

Wogóle nastrój umysłów był niespokojny i niepewny, nie wiedziano, czego się trzymać. Z tego powodu i na targu panowała stagnacya, kupowano zboże niechętnie i odrazu obniżono ceny.

Gdy chłop sprzedający dziwił się, skąd ten nagły spadek, odpowiadano mu, że takie czasy przyszły; i chłop ponosił koszta niepewności, nie mogąc się dowiedzieć, jakie to są czasy właściwie.

Niejeden gniewał się i do rozmowy o interesach wtrącał nieprzystojne słowa, ale trudno. Nie można od chłopa wymagać elegancyi, ani delikatności. On już bowiem z natury swojej jest grubiański i ordynaryjny.

Chociaż na rynku ruch był słaby, jednak pod „Łabędziem“ stagnacya nie dała się uczuwać, zwłaszcza w tych stancyach, gdzie gromadziła się tak zwana niższa populacya.

Już to niejednokrotnie Mojsie zauważył, że ceny zboża na targu wywierają pewien wpływ na interes szynkarski, ale że wpływ ten jest zawsze jednakowy. Jeżeli ceny są dobre, chłop pije z radości, jeżeli złe, ze zmartwienia, gdy średnie — z przyzwyczajenia. Tak więc, czy owak, na jedno wychodzi.

Małka siedziała prawie ciągle w sklepie i nie zaglądała wcale do pokojów gościnnych. Od czasu licytacyi w Zatraceńcu, była wciąż w złym humorze, a nawet, ku wielkiej radości Mojsia, zaczęła zaniedbywać się w ubraniu.

To jest bardzo dobry znak! Na dzień targowy nie wystąpiła w nowej sukni, ale w dość zniszczonym kaftanie, nie miała na sobie biżuteryi. Mojsie postanowił w duchu, że z nadejściem wieczoru zakomunikuje wiadomość o tym fakcie Engelmanowi i obadwaj wspólnemi siłami zaczną z niego snuć wnioski. Jest to bardzo przyjemne zatrudnienie, godne ludzi wyższego umysłu.

W drugiej stancyi pod „Łabędziem“ było pełno, a nad głowami zgromadzonych unosił się gęsty obłok dymu z fajek, cygar i papierosów, coraz bardziej w modę wchodzących.

Wasążek siedział przy osobnym stoliku z kilkoma szaraczkami i popijał piwo, gdy nadbiegł zadyszany Jukiel.

— No, panie Walenty? — zapytał — róbmy koniec. Co wasan myśli?

— Co chcesz?

— Ja chcę, żeby już raz był koniec. Cały ten interes uprzykrzył mi się; więcej tracę czasu, niż to warto.

— Ja to samo powiadam.

— Wasan to samo powiada! Ja się dziwię. Wasan wciąż powiada, że zgoda, że dobrze, a pieniędzy wasan nie pokazuje. Takim sposobem nigdy nie dojdziemy do ładu!

— Owszem, ja choćby i dziś.

— No, to płać wasan.

— Akurat w tej chwili nie mam, ale spodzie-

wam się, jest taki interes, że pieniądze będą i to niemałe pieniądze.

— Ale kiedy?

— Najdalej za kwartał. Nie mogę mówić jak, co, skąd, bo się boję zdrady; ale jeszcze Wasążek będzie pan, jeszcze sobie gruntu kawał kupi, dom postawi!

— No, no, niech wasan kupi, a tymczasem co będzie?

— Co tylko Jukiel zechce. Zgoda — owszem, proces — owszem, wasza wola!

Żyd ramionami wzruszył i odszedł.

— Słuchaj-no, Waluś — rzekł szwagier Wasążka, tuż obok niego siedzący — skąd na ciebie fortuna jaka ma spaść?

— Cicho, cicho, to jeno dla zadania myślunku Żydowi tak się rzekło.

— I cóż ci z tego przyjdzie, mój Walusiu?

— Jedno z drugiem nic, ale zawsze odwłoka. On dobrze wie, że ja przez całe życie moje po sądach chodziłem i może myśleć, że po prawdzie należy mi się trochę pieniędzy po ludziach. Będzie przepytywał, będzie szukał, a tymczasem dzień za dniem ucieka. Nie wadzi, że się Żydowi trochę ślepie zamydli.

— Jednak może was prawować za te sprzedaże.

— Śmiej się, bracie, długa to historya! Niech prawuje, ale niewiadomo, co wyprawuje. Już ja dobrze to sobie w głowie kalkulowałem i rozważyłem. Ma mnie zjeść, niech zje, ale przynajmniej niech sobie trochę zębów napsuje. Niech wie, że trafi się inszy człowiek twardy. Oto widzisz, takiego panicza z Zatraceńca, to wnet zgryźli.

— Oj, zniszczyli go do nitki, to prawda. Już on się tu chyba w naszych stronach więcej nie poka-

że bo niema po co i wstyd jakoś na takiego kawalera świecić oczami po okolicy, gdzie się takie miało przeprawy.

— Prawda, kochana Małka ustroiła go ładnie, przyjaciółka!

— Wszyscy oni przyjaciele, póki jest czem płacić, a jak już widzą dno w mieszku, to na nic nie zważają.

— Zawszeć to tak bywało — rzekł Wasążek— i po nas tak samo będzie. Pana zjedzą, chłopa zjedzą, tylko z nami, co nie jesteśmy ani panowie, ani chłopi, trudniej im idzie. Ja im tam mojego mienia łatwo nie oddam, potańcują oni jeszcze kawał czasu, zanim do skutku dobiją, a że ja nie mam na tańcowanie forsy, to obróciłem zawczasu kota ogonem, żeby oni musieli tańcować i pieniądze z kieszeni wykładać. Co dalej będzie, to będzie, ale zawszeć ta choć człowiekowi pociecha, że się im sprawę zamąciło, kapusty narobiło i że muszą teraz dobrze łbami kręcić i dużo na koszta wydać, zanim przyjdą do czego.

— Niewielkać to, mój Walenty, pociecha!

— Jak dla kogo; dla mnie wielka. Jak ja widzę, że taki niedowiarek tańcuje, to mi jakoś na sercu lżej.

Tego dnia Wasążek bardzo się do szwagra swego rozczulał, gawędzili obszernie, nawzajem honory sobie świadcząc, pomimo, że nieraz bywały pomiędzy nimi procesy i spory zawzięte byle o co.

Atoli taki Wasążek, jako i jego szwagierek, jedną mieli zasadę, a mianowicie, że w familii kłócić się można, ale niechby kto obcy jednego z familiantów zaczepił, to wtenczas, choćby i powaśnieni, choćby nawet i w kłótniach będący, powinni za „familiantem“ stanąć, jak mur, i bronić go całą mocą.

Tak i teraz było. Walenty, porywczy i do kłótni pochopny, niebardzo się z bliską zadawał rodziną,

ale kiedy widział, że z nim źle być może i postanowił drogą symulacyi Żydom windykowanie należności utrudnić, wszyscy szwagrowie i bracia najchętniej w tem mu dopomagali i liczyć mógł napewno, że go żaden nie zdradzi.

— I wilk w pojedynkę nie straszny — mawiał często Wasążek — a w gromadzie niech Bóg broni go spotkać.

Po południu na targu Jukiel Wasążkowego szwagra zaczepił pytaniem:

— Czy wasan słyszał, co Walenty mówił do mnie pod „Łabędziem"?

— Słyszałem.

— Co wasan myśli, czy to może być prawda, czy też łgarstwo jest?

— Może być i tak i tak.

— No, przecież wasan szwagier jest, powinien wiedzieć. Jak się wasanu zdaje?

— Widzi Jukiel, to tak. Walenty dużo procesów miał — i swoich i za cudzemi, bywało, chodził, bo niema co mówić, głowacz to wielki do takiej roboty. Wyroków u niego pełna skrzynia, to też i nie dziw, jeżeliby gdzie jeszcze jakie należności miał.

— Naprawdę?

— A juści...

— A wasan nie wie, jakie to należności?

— O, żebym ja wiedział, tobym zaraz i swojego dochodził, bo to my ze szwagrem różnych starych rachunków mamy dość. Prawowanie pomiędzy nami było nie jedno i nie dwa — ale nie wiem. Przypominam ja sobie, że on przy parcelacyi paru majątków się kręcił, kupców na grunt sprowadzał, porękawiczne duże miał dostać. Nie dostał. Procesował, sprawę wygrał, na hypotekę wszedł. Możnaby spenetrować, żeby czas był, ale w naszym stanie biednym od gospodarstwa trudno się oderwać, a po dru-

gie, jeżdżenie po miastach, szukanie, to koszt znaczny... Ale wypłynie to kiedyś na wierzch, jak oliwa, a wtenczas ja swoje odzyskam. Nie będę pytał, że to szwagierek, jeno stanę, gdzie trzeba i powiem: oddaj no, kochaneczku, co moje...

Jukiel zamyślił się, a szaraczek, westchnąwszy głęboko, dodał:

— Wiadomo, że różnie się z ludźmi dzieje na świecie; dziś człek może być na wozie, jutro pod wozem, a pojutrze znowu na wozie. Może nie?

— Bywa, rozmaicie bywa — odrzekł Jukiel — ale częściej źle, niżeli dobrze i trzeba się dowiadywać.

Gdy już targ się skończył i rynek opustoszał, zaczęli z różnych stron miasteczka, z różnych uliczek i domków, schodzić się finansiści czarnobłoccy. Może nadeszła jaka świeża wiadomość, może kto otrzymał list, może się choć cokolwiek położenie wyjaśniło. Zanadto poważna jest sprawa, aby długo mogła trwać niepewność.

Uszer Engelman powiedział, że przyszedł strach, który wstrząsnął każdym obywatelem czarnobłockim szczegółowo, a całem Czarnembłotem wogóle.

Wprawdzie plotka głosiła, że coś nieprzyjemnego zagraża tylko lichwiarzom, ale lękali się wszyscy.

Dziś takie czasy paskudne, że kto bierze tylko pięć kopiejek od rubla tygodniowo, także nazywany jest lichwiarzem!

Wszyscy dążyli na rynek, aby się czegoś stanowczego dowiedzieć i życzenie to spełniło się do pewnego stopnia. Jankiel Bas otrzymał list bardzo ciekawy. Pismo było niedługie, lecz nader interesujące i pełne treści, tak dalece, że przeczytawszy je, Jankiel natychmiast udał się na rynek.

Szedł, jak zawsze, powoli, małomówny i majestatyczny, czapkę na tył głowy nasunął, z pięknej porcelanowej fajki dym puszczał.

Wnet zebrała się koło niego gromadka współobywateli; każdy bowiem z miny Jankla poznał i odgadł, że człowiek ten coś ważnego do powiedzenia ma.

Gromadka powiększała się szybko, bo już oddawna w Czarnembłocie taki jest obyczaj, że gdy czterech Żydków rozmawia na rynku, to do każdego z nich przyłącza się także po czterech i do każdego z tych przyłączonych znów czterech i tak dalej, dopóki wszyscy mężowie pełnoletni nie uformują wielkiego zgromadzenia.

Tak było i w tym wypadku. Jankla Basa otoczyła pokaźna gromadka słuchaczów, uważnych, bacznych, chciwie połykających każdy wyraz, pomimo, że smak tych wyrazów był niezmiernie gorzki, kwaśny i przykry.

Czego człowiek nie przełknie!

Otóż Jankiel Bas potwierdził, na podstawie świeżo otrzymanego listu, że chociaż w szkaradnych plotkach, jakie rozpuszczono, jest część przesady, fałszu, ale jest również znaczna część prawdy; że dziś interesa finansowe, ktróe były niegdyś bardzo przyjemne i korzystne, przybierają charakter ślizki i niepewny; że jeżeli dotychczas kapitalista ryzykował, iż może natrafić na niewypłacalnego dłużnika, to obecnie ryzykuje, że może natrafić na sąd, na sprawę, na utratę zysku i w dodatku na kryminał.

Gdy Jankiel to oświadczył, zrobił się wielki krzyk.

— Co, jak, dlaczego? — pytano ze wszystkich stron.

— Dziwne pytanie! A wiecie wy dlaczego deszcz pada?

— Deszcz? Co nam do deszczu?

— No, widzicie, on pada dlatego, że... pada!

— Jest zupełna racya — rzekł Uszer Engelman. — Nam się nie podoba, że woda z góry cieknie i na nosy nam kapie, ale wodzie to jest zupełnie wszystko jedno.

— Wcale niema racyi! — zawołał Glancman— Uszer się myli.

— Uszer?

— Jakto? Nasz Uszer, taki myśliciel, pierwsza głowa na całe Czarnebłoto, miałby się mylić?

— Tak jest, myli się. Mowa o deszczu. Bardzo dobrze, deszcz pada. Niech sobie pada, skoro nie możemy go powstrzymać, ale kto wam broni ukryć się na ten czas pod dachem, albo sprawić sobie porządny parasol?

— Racya, wielka racya! — zawołał.

— Pięknie powiedział Glancman — rzekł Uszer spokojnie — chciaż tego, co rzekłem o deszczu, bynajmniej nie obalił. Swoją drogą słowa Glancmana byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby zechciał ukazać nam, gdzie jest ów dach, albo z czego można zrobić parasol, mogący zasłonić od nieprzyjemnej i niepożądanej wilgoci? Dopóki nam tych wskazówek nie da, słowa jego będą tylko słowami.

— Prawda, prawda! — odezwano się w gromadzie. — Dajcież nam dach, dajcie parasol!

— Jabym sądził — odezwał się Mojsie Fisch — że jest jeden niezawodny sposób uchronienia się od tej zimnej wody, która niejednemu może wlać się za kołnierz... Sposób doskonały, niezawodny, a taki pewny, że już pewniejszego wynaleźć nie można.

— Słuchajmy! Mojsie Fisch chce zostać naszym zbawcą!

— No, Mojsie, nie drożcie się, pokażcie nam tę perłę!

— Wycofać się całkiem z takich interesów i na przyszłość wcale się niemi nie zajmować. To jest sposób!

W zgromadzeniu zrobiła się cisza; trwała ona jednak bardzo krótko, ktoś krzyknął:

— Mojsie jest głupi!

Wykrzyk ten zaczęto powtarzać różnemi głosami, ku wielkiemu oburzeniu męża pięknej Małki. Chciał się bronić, nie pozwolono mu przyjść do głosu; usiłował pięknie przemówić, zakrzyczano go.

W zgromadzeniu zrobił się wielki gwałt i rejwach, wszyscy mówili jednocześnie, a ponieważ każdy pragnął, aby jego głos był słyszany, więc zrobiła się silna licytacya krzyku. Można było wyrozumieć tylko to, że rada Mojsia odrzuconą została z powszechnem oburzeniem, że nikt nie myśli bynajmniej o odwróceniu deszczu, lecz każdy pragnie, żeby mu dano parasol. Przedewszystkiem dobry parasol, a deszcz niech sobie pana dopóki sam nie ustanie.

Jankiel Bas nakazał milczenie — i uciszyło się zupełnie.

— Trzeba radzić — rzekł poważnie — głów u nas nie brak.

— Kto ma radzić? — zapytano.

— Każdy, kto ma głowę, niech ją puści w ruch. Zamiast coby miał spać, niech myśli; zamiast coby miał jeść — niech myśli; kiedy będzie się znajdował w drodze — niech myśli. Nie sposób, żeby takie wielkie, takie powszechne myślenie miało pozostać bez rezultatu. Skutek być musi. Wiecie, o co idzie, wiecie, że będzie deszcz, więc, jak dobrze mówi Glancman, szyjcie parasol.

— Tak — potwierdził Uszer Engelman — szyjcie parasol; niech was to nie zraża, że będzie on zrobiony z kawałków, taki jest znacznie mocniejszy

i wytrwalszy, bo jeżeli na taki materyał da się łatę, na tę łatę jeszcze łatę i jeszcze raz łatę, to oczywiście te warstwy będą o wiele mocniejsze, aniżeli sam materyał z nowości.

— Aj, aj! — odezwał się krawiec Mordka — nasz Uszer każdą myśl ślicznie sfastrygować potrafi. Na moje sumienie, on mówi, jak najlepszy krawiec!

— Ładny komplement! Mordka niech pilnuje swego fachu; jeszcze nie przyszedł czas, żeby krawcy sądzili słowa uczonych!—zawołał oburzony Mojsie Fisch.

— Tymczasem — odrzekł Mordko — prawo tego sądu przywłaszczają sobie... szynkarze!

— Cicho, cicho! Nie kłóćcie się. Nie jest to czas stosowny do prowadzenia bezowocnych sporów; lepiej oddajcie się wszyscy myśleniu. Wiadomo wam, że czas jest brzydki i że powietrze teraźniejsze nie bardzo sprzyja delikatnym ludziom. Puszczajcie wasze głowy w gwałtowny ruch — rzekł Jankiel Bas.

— Od początku świata tak było — dorzucił sentencyonalnie Engelman—że wykpiwaliśmy się od różnych, nieraz bardzo przykrych i niemiłych interesów, więc i teraz znajdzie się jakiś sposób.

Pocieszeni tą myślą, członkowie zgromadzenia zaczęli się rozchodzić do domów, a Jankiel zaprosił do siebie kilku co poważniejszych, oraz biegłych w prawie.

W tej liczbie był, oprócz kilku ludzi starych i doświadczonych, Glancman, Engelman, dwaj pokątni doradcy, tudzież Mojsie Fisch.

Ten ostatni nie cieszył się opinią wielkiego znawcy prawa, ani wogóle nie był uważany za tęgą głowę, ale na wszystkich zgromadzeniach asystował, jako właściciel zajazdu pod „Zielonym łabędziem“, a zarazem jako mąż Małki, która musiała mieć prze-

cież o wszystkich ważniejszych sprawach obchodzących miasto, dokładne relacye.

W zaufanem kółku rzeczoznawców toczyła się ożywiona dysputa, na której przedewszystkiem zapadło postanowienie, ażeby wszystkie już zawarte interesa pożyczkowe kończyć i egzekwować co najrychlej. Chociażby nawet ze stratą, byle tylko był koniec.

Dawny system wychodzi z mody, trzeba stworzyć nowy.

Proponowano rozmaite.

Pożyczka na zwyczajny rewers jest źle widziana przez sądy, ale może być kupno i sprzedaż.

Dlaczego chłop niema być winien kapitaliście miejskiemu za konia, krowę, lub za wóz?

— Dobrze — rzekł Mojsie — ale gdzie ukryje się procent?

— W koniu, albo w krowie...

— To ładne jest!

— Niebardzo — rzekł Jankiel Bas — ludzie uprzedzeni gotowi wbrew prawdzie twierdzić, że koń nie jest koń, tylko niecałkiem wypłacona waluta. Oni gotowi są znaleźć procent nawet w koniu.

— Więc co robić?

— Ja wam powiem —rzekł pokątny doradca— procent należy schować w wyrok sądowy.

— Jakim sposobem?

— Mówię wam, że to najlepsze schowanie. Sąd może grymasić, gdy zobaczy weksel, rewers lub dokument prywatny; ale gdy mu się pokaże jego własny wyrok, to grymasić nie będzie, nie powie, że jest fałsz albo oszukaństwo.

— To prawda, ale chcąc mieć wyrok, trzeba wprzódy mieć rewers.

— Bardzo łatwy na to sposób jest. Dawniej, gdy chłop żądał pieniędzy, braliście od niego rewers

i interes był skończony; teraz weźmiecie wpierw rewers, ale pieniędzy nie dacie, aż zapadnie wyrok. W rewersie będzie napisane, że Maciek winien wam, dajmy na to, sto rubli, że pożyczył rok temu, że obowiązał się płacić procent mały dwanaście od sta na rok i że nie płacił dotąd ani procentu, ani kapitału. Pozwiecie Maćka do sądu. Maciek się stawi i przyświadczy, że to prawda.

— A jeżeli nie zechce?

— Jakto nie zechce? Skoro mu pilno potrzeba pieniędzy, to wszystko zechce, co wy tylko zechcecie. Wszystko przyzna, podpisze. Zapadnie wyrok, uprawomocni się, wtenczas wypłacicie Maćkowi pożyczkę, a wypłacicie tyle, ile wam się podoba.

— No, no, dobry sposób!

— Bardzo dobry. Różne rzeczy można ukąsić, ale prawomocnego wyroku to już nikt nie ukąsi.

Wszyscy juryści czarnobłoccy zaczęli tę rzecz rozważać, ten i ów rzucił jeszcze jakiś projekt, ale ostatecznie odrzucono wszystkie, tylko ten jeden uznano za dobry.

Jakoż zapadło postanowienie ostateczne, które polecono obecnym rozgłosić i rozpowszechnić jak najszerzej, na rynku, w sklepach, pod „Zielonym łabędziem“, wszędzie, gdzie tylko zgromadza się światek handlujący.

Postanowienie było bardzo lakoniczne; obejmowało tylko dwa punkta, a mianowicie: wszystkie dawniejsze interesa jak najprędzej likwidować i kończyć, a nowych nie robić inaczej, jak tylko na prawomocny wyrok.

Takie hasło rozniosło się z ust do ust po całem Czarnembłocie, takie hasło podane zostało przez pantoflową pocztę do okolicznych wiosek, do odległych zakątków, wszędzie, gdzie tylko mogą być interesa i finansowe transakcye.

I, co dziwna, takież same, jednakowe zupełnie rozkazy dzienne, wyszły z Kopytkowa, z Białegobłota, ze wszystkich centrów, dokoła których grupują się wsie, folwarki, małe wioski i kolonie.

Słusznie Uszer Engelman podziwiał misterne świata urządzenie, słusznie zachwycał się kunsztownym jego mechanizmem, bo jak ani jedno ziarnko zboża, ni jedno jajko z chłopskiej zagrody nie wydostanie się na świat, nie zawadziwszy o miasteczko, tak mądre słowo z miasteczka po owych kołach i kółkach, splecionych misternie, niby po drucie telegraficznym, przebiega po całej okolicy i daje delikatny „wink“, jak mężowie mądrzy postępować mają, aby tę misterną siateczkę jeszcze bardziej zadzierzgnąć, zacisnąć i umocnić; ona albowiem musi być mocna i dobrze zadzierzgnięta, bo inaczej cały porządek świata byłby zagrożony, delikatność rozumu nie mogłaby panować nad grubą siłą chłopskich pleców, a ludzie uczeni, myśliciele wielcy, musieliby narówni z ordynaryjnym plebsem stanąć do takiej roboty, która jest uciążliwą i poniżającą.

ROZDZIAŁ VIII,

w którym po raz ostatni widzimy Michała Rokitę i innych dobrych znajomych, oraz w którym jest parę mądrych zdań Uszera Engelmana.

Żniwo już było na ukończeniu, ostatnie kopy zwożono do stodół lub układano w sterty; wszędzie po wioskach panowała radość, bo urodzaj był dobry, więc ludzie się cieszyli, że chleba im do nowego wystarczy, a jeszcze i na sprzedaż zostanie. Ale największa radość była w Brzozówce.

Ciotka Gertruda święciła swój tryumf. O Różańskim nie wspominano już wcale, natomiast pan Stanisław przyjeżdżał bardzo często, jako narzeczony Zosi.

Postanowiono, że ślub odbędzie się na jesieni i ciotka zajęła się przygotowaniem wyprawy; szło jej to bardzo szybko i bez żadnych trudności.

Od brata na ten cel nie chciała przyjąć ani grosza.

— Przepraszam, panie bracie — mówiła — ale byłabym bardzo lichą gospodynią, gdybym przez tyle lat nie potrafiła zebrać na dwie skromne wyprawy. I to panu bratu wiedzieć trzeba, że obie dziewczęta dostaną porówno, tyleż wszystkiego Jadwinia, ile Zosia, a jak im jeszcze w dzień ślubu trochę pieniędzy dam, to się chyba brat nie rozgniewa?

— Pani siostro, ktoby się na panią siostrę gniewał? Zacna kobieta jesteś z kościami!

— Swoją drogą nie chciałaś mojej rady słuchać i byłbyś dziecko zmarnował.

— Nie mówmy już o tem. Chciałem jak najlepiej, byłem w błędzie, przepadło!...

— Tak, bracie, niema o czem wspominać. Cieszmy się raczej, że nasza Zosia będzie szczęśliwa. Chłopiec uczciwy i dzielny, pracy się nie ulęknie, a kochają się! Panie bracie, jak oni się kochają, to coś nadzwyczajnego!

— Jak młodzi. Cóż w tem za dziw?

— Właśnie, że dziw, bo dobrali się, jakby w korcu maku dwa ziareczka. Ja od pierwszego wejrzenia, gdy Staś pierwszy raz był u nas, zrozumiałam, przeczułam, że to się dobrze skończy, tak mi się przynajmniej wydawało. I niechże mi kto powie, że niema przeczuć? Owszem, są, tylko trzeba mieć trafi. Tak się to przedstawia w mojej kobiecej głowie, serce. Kto kochać nie umie, ten i przeczuć nie po-

ale mniejsza o to. Widzisz, panie bracie, od czasu, kiedy zgodziłeś się na małżeństwo, widzisz dokoła siebie samo szczęście. Zosia, Jadwinia, ja, nie mówię już o Stasiu i jego matce. A ty, panie bracie, przyznaj, że jesteś też szczęśliwy. I czemuż to pan brat marszczy brwi tak srogo, kiedy w gruncie rzeczy serce ma napełnione radością? Wydajemy córeczkę nie za magnata, ale wydajemy ją dobrze, bo za człowieka, a jeżeli tak o kawalerze powiedzieć można, to już bardzo wiele; wierz mi, panie bracie, że wiele, nadzwyczaj wiele...

— Ja nie przeczę, owszem, ale moja siostro, dlaczego on się przy tej służbie upiera? Co mu po tem? Zatraceniec jest do wzięcia, doskonały folwark, warunki bardzo dogodne, dorobić się można. Ja przecież pieniędzy dam, ile będzie potrzeba.

— Panie bracie, mógłby on i za swoje w tę dzierżawę wejść, bo matka mu chce swój kapitał oddać, ale on nie ma ochoty, a Zosia za nic na świecie nie zgodzi się na to, aby w Zatraceńcu mieszkać.

— Cóż jej przeszkadza?

— Widać, że przeszkadza, kiedy nie chce. Mogliby łatwo inny dobry folwark znaleźć, ale naprawdę, po co?

— Jakto po co?

— Eh! korona z głowy nie spadnie, panie bracie, obowiązek nie hańbi. Zresztą tam jest dobry kawałek chleba. Pensya niewielka, ale gospodarstwo na Majdanie znaczy tyle, co nieduży folwarczek, można się inwentarza dochować i całkowite utrzymanie mieć. Kawałek chleba porządny, co się zowie. Niech pobędą kilka lat, a przez ten czas i jego mająteczek i Zosi posag wzrośnie, no, i my będziemy mieli ich blizko siebie. Bo mów ty sobie, co chcesz, panie bracie, ale zawsze ta Zosia, chociaż i zamąż wyjdzie i nazwisko zmieni, jednak dla nas będzie to ta sama

Zosia, to samo dziecko, które się na naszych rękach wychowało, które tak serdecznie kochamy. I miło nam będzie mieć ją niedaleko, prawie przy sobie, widzieć niemal codzień. A jeżeli się jeszcze wnuków doczekamy... A, bracie, ja o tem bez wzruszenia mówić nie mogę. Stara panna jestem, dzieci własnych nie miałam, ale zdaje mi się, że gdybym została chociaż cioteczną babką, to... to... eh! niech lepiej nie doczekam, bo jabym te bachory na nic pieszczotami zepsuła.

Argumenta siostry przekonały Boreckiego, uznał ich słuszność i postanowiono, że pan Stanisław pozostanie jeszcze przynajmniej na lat kilka na dotychczasowem stanowisku.Domek w Majdanie nie duży, tylko cztery pokoje, ale na co więcej? Zosia utrzymuje, że sensu nie miał ten, kto pałace wymyślił; w takich bowiem wielkich salonach, jak stodoły, jest pusto i zimno; trzeba się w nich szukać, jak po lesie, a w małym domku drewnianym może być, jak w raju. W jednej połowie będą mieszkali państwo młodzi, w drugiej pani Zawadzka. Matka, jak matka, wszystkoby rada oddać dzieciom, chce sobie zatrzymać jeden pokoik, ale Zosia na to się nie zgadza. Mówi, że mama jest główną osobą domu i musi mieć jak największą wygodę.

Dwa pokoje, te, co nie dla mamy, są już prawie urządzone.

Pana Stanisława wyrzucono stamtąd, będzie chwilowo na komornem u matki, dopóki się wszystko nie ukończy. Ileż to się sesyj nad tem odbyło!

Ciotka Gertruda, pani Zawadzka, Zosia i Jadwinia ciągle miały konferencye nad tem, aby pokoiki wyglądały niby pudełka od cukierków.

Co tam naznoszono firanek, serwetek, dywaników na kanwie wyszywanych, a co kwiatów!

Pod każdem oknem stały schodki, i to nie byle

jakie, ale naumyślnie robione i malowane przez stolarza w miasteczku. Dopiero na tych schodkach jaśniała kwiatami prawie cała oranżerya z Brzozówki. Zosia nie chciała tyle roślin zabierać, ale Jadwinia prosiła, nalegała prawie, zapewniając, że dochowa się nowych bardzo szybko. Zresztą, gdyby Jadwinia miała kiedy urządzać mieszkanie dla siebie, to Zosia jej część swoich kwiatów ofiaruje.

Domek na Majdanie przygotowany już był na przyjęcie młodej pary; termin ślubu się zbliżał.

Ciotka Gertruda widząc, że wyprawa Zosi jest już ukończona aż do najdrobniejszych szczegółów, zaczęła myśleć o strojach dla Jadwini i dla siebie. Jadwinia miała mieć na weselu suknię białą ze wstążkami i kwiatami, zaś ciotka postanowiła przywdziać strój wspaniały.

— To już trudno — mówiła do Zosi — nigdy w życiu nie ubiegałam się za strojami, nie myślałam wcale a wcale o elegancyi, ale na twojem weselu chcę zabłysnąć. Niech ludzie wiedzą, że nie byle kto jesteśmy i że w razie potrzeby, potrafimy się pokazać.

Dla tej idei przepatrzyła ciotka swoją szafę i wydobyła z niej staroświecką suknię jedwabną, barwy osobliwej, mieniącej się, jak skrzydło kaczora.

Szwaczka, które szyła wyprawę, nadała tej szacie kształty współczesne, a przynajmniej zbliżone do współczesnych, zaś Dawid Gont, pierwszy krawiec na całe Czarnebłoto i okolicę, sporządził dla pana Boreckiego garnitur frakowy, w który włożył całą swoją umiejętność fachową, oraz zdolności dwóch młodych czeladników.

Wszyscy byli zajęci przygotowaniami do wesela, zakłopotani, zapracowani, oprócz narzeczonych.

Dla tych, jak się zdawało, świat nie istniał, zwłaszcza, gdy się znajdowali razem.

Co ich to obchodziło, że Jadwinia całemi godzinami rozmyśla nad kwestyą jakiej wstawki, lub gałganka; że ciotka Gertruda zgromadza takie zapasy różnych smakołyków, jakby miała niemi nie gości weselnych, ale całe rzesze zgłodniałych nasycić; że pan Borecki, ku wielkiemu oburzeniu Małki, puścił się w podróż do miasta gubernialnego, aby stamtąd wina sprowadzić; że cała służba było w gorączkowym ruchu, zapracowana, zajęta od świtu do nocy...

Nie zważali na to bynajmniej, jak gdyby obcy temu wszystkiemu; szeptali tylko nawzajem do siebie, ale co, o czem, tego nikt nie słyszał.

Jadwinia domyślała się, że zapewne o kochaniu i dziwiła się siostrze, że jest taka poważna.

— Gdybym ja była zakochana — mówiła do ciotki — tobym się śmiała, cieszyła i mój narzeczony musiałby być koniecznie wesoły, a ci siedzą tacy zadumani i poważni, jak dwa bociany na gnieździe i każą nam w to wierzyć, że są nadzwyczaj szczęśliwi.

— Co ty się tam znasz, dzieciaku! — odrzekła ciotka — jeszcze czas... I ty nie będziesz wiecznie roztrzepańcem, lecz nabierzesz powagi.

— Ale moja ciociu!...

— Czegóż jeszcze chcesz?

— Proszę cioci, gdy Zosia wyjdzie już zamąż, to czy ja mam mówić do pana Stanisława: panie Stanisławie, czy też „ty“?

— Naturalnie, że „ty“.

— Ja nie będę śmiała.

— Proszę, nie masz śmiałości? A może chcesz zachować powagę.

— Ja mam ochotę wytargać go za uszy, moja ciociu za to, że jest taki nudny i ciągle wzdycha, ale także nie śmiem... Zresztą, zobaczymy.

W dzień wesela Zosi, zaraz po południu, wy-

brał się Rokita do Czarnegobłota, aby tam zobaczyć się z Chasklem, który jakby naumyślnie wyjechał.

Jakby naumyślnie, bo na dzień następny wyznaczony był termin sprzedaży całego dobytku Rokity.

Chłop nie wierzył, żeby to mogło przyjść do skutku, nie przypuszczał ani na chwilę. Kiedy baba zaczęła płakać i zawodzić, że ją z dziećmi na ulicę wyrzucą, że ją z wszystkiego mienia wyzują, pocieszał ją i próbował uspokoić, że Chaskla uprosi, aby ten fatalny termin odroczył.

— Już mu się do reszty zaprzedam — mówił — wszystko, co zechce tylko, dam, do najcięższej roboty się zaprzęgnę dla niego, niech mi jeno da siedzieć w tej chałupie. Dzieci podrosną, zaczną robić u ludzi, zbierze się trochę grosza i wykupimy się kiedyś... Tymczasem niech tylko siedzieć da... Chce z mojego gruntu dochód ciągnąć, niech ciągnie, jako i teraz, ja i to przetrzymam... Będę go prosił, molestował, nuż uproszę...

Poszedł tedy chłop do Chaskla rano, poszedł go prosić, widocznie jednak przewidywał Żyd, że tak będzie i chciał widzenia się z Rokitą uniknąć, gdyż jeszcze przed wschodem słońca do miasteczka wyjechał. Dowiedziawszy się o tem, Rokita zaraz z miejsca, nawet do chaty swojej nie wstępując, puścił się w drogę.

Szedł szybko, męczył się; pot grubemi kroplami spływał mu po czole. Od kilku dni, pod wpływem zmartwienia i niepokoju, chłop ten prawie nic nie jadł, ale głodu nie czuł; dręczyło go tylko niezmierne nie dające się niczem uspokoić pragnienie. W każdej wiosce przy drodze zatrzymywał się przy pierwszej studni, jaką spotkał i pił wodę długo, chciwie, bez pomiarkowania. Pomimo tego jednak pragnienie nie ustawało, gorączka paliła go, jak ogień,

w gardle schło, w piersiach chwilami tchu brakło, w skroniach coś łomotało, jak młotem.

Kilkakrotnie miał chęć rzucić się na ziemię i poleżeć, ale jakaś siła szczególna popychała go naprzód; koniecznie chciał tego Żyda widzieć, rozmówić się z nim, uprosić.

Przy rogatce w Czarnembłocie zatoczył się i zachwiał na nogach. Ostatnim wysiłkiem dowlókł się Rokita do szynkowni, wódki kazał sobie podać całą kwaterkę mocnej, najmocniejszej, jaka jest. Wypił duszkiem, rzucił kilka miedziaków szynkarzowi i wyszedł wzmocniony. Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby płomień miał w piersiach, a przytem był tak blady, tak kredowo blady, że aż ludzie, patrząc na niego, stawali.

Chaskiel stał na środku rynku i rozmawiał z kilkoma Żydami, gdy Rokita nadszedł i dotknął go zlekka w ramię.

Żyd się obejrzał.

— Co chcesz?! — zapytał opryskliwie.

— Chasklu, ja do was potrzebę mam — rzekł chłop pokornie.

— Ja do ciebie nie mam żadnej potrzeby, idź sobie!

— Chasklu!...

— No, no, słuchajcie-no — rzekł Chaskiel do Żydów — ten chłop ma do mnie interes!... Ładny interesant! No, co chcesz? Masz zboże do sprzedania, może konia, może bydlę? Owszem, daj, ja kupię. Ale ty nie masz nic do sprzedania; wszystko, coś miał, toś przemarnował, przepiłeś, czego teraz żądasz odemnie?

— Chasklu, ja parę słów na osobności chcę wam rzec.

— Gadaj przy ludziach, ja nie potrzebuję żadnych osobności.

— Więc przy ludziach powiadam. Chasklu, miejcie litość nade mną, nad żoną, nad dziećmi, nie wyganiajcie z chałupy, nie marnujcie naszego mienia, ja was proszę. Proszę was, miejcie litość! Co chcecie, robić będę, odpracuję, odsłużę. Każdej roboty się podejmę, gdzie każecie pójdę, jeno ostawcie w chałupie. Ona po ojcach i po dziadach, jam się w niej urodził, w niej się dziatek dochował, był gospodarzem...

— Co ty chcesz, Michał! — wołał zaperzony Chaskiel — co ty chcesz? Żebym ja ci zrobił prezent z takiej sumy? Żebym ja ci podarował taki duży majątek? Co to, czy ja nie mam żony i dzieci, czy ja potrzebuję napychać ciebie pieniędzmi?

— Chasklu, pofolgujcie... Toć Bóg najwyższy widzi, żem wam nic nie winien, że co wziąłem od was, tom w dubelt oddał pieniędzmi, zbożem, odrobił furmankami, żeście mnie jeno opętali na te kwitki, którem podpisywał, nieznawca na pismo i człowiek ciemny, niewiedzący. Chasklu, niechże się w was zbudzi sumienie, toć chociaż wy Starego Zakonu Żyd, aleć Bóg miłosierny jeden dla nas wszystkich. Nie bądźcież kamieniem, toć proszę was i skomlę przed wami i schylam się, jak pies, Chasklu, trzeba mieć litość!...

Żyd rzucił się, jak ukąszony.

— Ty łajdaku! — wołał — ty pijaku! Ty powiadasz, że mnie się od ciebie nic nie należy, kiedy sąd przyznał, że się należy? Ty chcesz być mądrzejszy od samego sądu? Tyś zabrał moje pieniądze, moją pracę, moją krew i żądasz, żebym ja tobie folgował?...

— Więc nic od was nie uzyskam, nie uproszę, nie ubłagam, mam zginąć marnie, jak robak... Chaskiel!

Żydzi, otaczający Chaskla, śmiać się głośno zaczęli, rzucając różne uwagi w żargonie.

Bawił ich widocznie ten olbrzym, to uosobienie siły fizycznej, płaszczącej się w pokorze przed takim drobnym, wątłym Żydkiem.

— Chasklu — powtarzał Rokita — więc nic nie uproszę, nic nie uzyskam?...

— Idź do choroby, ty pijaku, ja wcale nie mam przyjemności z tobą rozmawiać. Wynoś się do dyabła!...

Chłop wstrząsnął się, jak pies, gdy go zimną wodą obleją, mruknął przez zęby jakieś przekleństwo, a pięść jego zaciśnięta z szybkością błyskawicy opisała łuk i niby młot żelazny ugodziła w skroń Chaskla.

Stało się to w jednem mgnieniu oka. Żyd padł na ziemię bez ruchu.

— Gwałt! rozbój! — wrzeszczeli inni. — Ty łajdak, ty zbójca! Trzymajcie go!

Ale zbójca uciekać nie myślał, stał nieruchomy, jak głaz i wpatrywał się w leżącego, mrucząc:

— Chasklu, toć zgódźmy się przecie... Co chcesz, jak chcesz, odrobię...

Żydzi zaczęli Chaskla cucić, sądząc, że zemdlał; jeden pobiegł po doktora, lecz zanim ten przyszedł, znalazł się felczer, Icek, pochylił się nad leżącym dotknął go i zawołał:

— Nie żyje!

— Nie żyje! Zabił! Zamordował!—wołali inni.

Zrobił się wrzask piekielny, a w chwilę później tłum ludzi zgromadził się na rynku. Rozlegały się krzyki, przekleństwa, a Rokita stał wśród tej gromady blady śmiertelnie, prawie nieprzytomny, może nawet nie rozumiejący, co się stało.

Rzucono się do niego, chciano bić, wiązać, ale

chłop odepchnął najbliższych i stanął w pozycyi obronnej.

Burmistrz spieszył na miejsce wypadku, a za nim kilku mieszczan; już mu powiedziano, co się stało.

— Tyś zabił? — zapytał Rokitę.

— Bóg świadkiem, nie chciałem, jenom go trącił, ręka ociężała z żałości. On mnie wpierw jeszcze zabił...

— Słyszy pan, co ten zbrodniarz gada!... Chaskiel jego zabił! My jesteśmy świadki, my byliśmy przytem!

— Weźcie go!—rzekł burmistrz do mieszczan.

Kilku silnych mężczyzn rzuciło się na Rokitę.

— Dajcie pokój, ludzie! — rzekł spokojnie — pójdę z wami. Już czy tak, czy siak, zginąłem...

Wprowadzono go do izby, mającej okno opatrzone kratami żelaznemi i zamknięto. Zostawszy sam, rzucił się na podłogę i leżał, patrząc w sufit szeroko otwartemi oczami. Chciał myśli zebrać, ale nie mógł, plątały się one w jego głowie bezładnie, a w kilka godzin później, gdy burmistrz do spisania protokułu kazał go przyprowadzić, wstać już nie mógł; był nieprzytomny i mówił od rzeczy, a z urywanych słów można było rozumieć, że prosi o coś, obiecuje odrobić, zapłacić...

Nazajutrz odwieziono go do powiatowego miasta, do szpitala, a stamtąd, po tygodniu, na cmentarz. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

W chwili, gdy Rokitę do aresztu prowadzono, już całe miasteczko wiedziało o zbrodni. Ze wszystkich zakątków, ze wszystkich uliczek, dążyli mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, aby zobaczyć ofiarę. Chaskiel leżał na ziemi nieruchomy i zimny.

Jankiel Bas, Glancman, Dawid Śliwka, Uszer Engelman, Mojsie Fisch rozpoczęli starania, aby ciało można było jak najrychlej uprzątnąć, aby sek-

cyi uniknąć. Członkowie towarzystwa pogrzebowego przybyli z tragami.

Małka nie mogła przemódz ciekawości kobiecej, pobiegła także na rynek, aby zabitego zobaczyć, co ją jednak tak przeraziło, że przez kilka dni była jak nieswoja i w sklepie, pod wpływem tego wrażenia, omyliła się kilkakrotnie w wadze, dając funt za funt, bez ujęcia choćby drobnej cząsteczki. Ręce jej się trzęsły...

Wieczorem, kiedy się już trochę uspokoiło w miasteczku, a zwłoki Chaskla przeniesiono do budynku cmentarnego, gdzie miały do czasu przybycia sądu leżeć, Mojsie Fisch zaprosił Engelmana do siebie.

— Chodźcie, Uszer — rzekł — nie zaszkodzi wypić po szklance koszernego wina, bo myśmy dziś dużo przeżyli.

— Owszem, wcale nie zaszkodzi. Myśmy dziś widzieli rzeczy przykre, które spędzają sen z powiek i dają dużo do myślenia.

— Wejdźcie, proszę was, Uszer, siądźmy w pustej stancyi, gdzie nikt nam przeszkadzać nie będzie i ulżyjmy sercom naszym, bo ciężko jest.

— Bardzo ciężko.

Przyniósł Mojsie butelkę i szklanki, nalał wino.

— Na spokój! — rzekł.

— Na zdrowie!

— Obyśmy mieli zdrowie i spokój! Oby oczy nasze nie patrzyły na zbrodnie! Uszer, zdaje się, że jak Czarnebłoto Czarnembłotem jest, jeszcze się nic podobnego nie zdarzyło.

— Ja nie pamiętam.

— Uszer, ja się boję.

— Czego wy się boicie, Mojsie?

— Chłopy są teraz bardzo harde. Oni się całkiem zepsuli, oni nie mają delikatności; ciężko żyć

wśród takich zbrodniarzy. Dlaczego wy nic nie mówicie Uszer?

— Ja myślę o tym wypadku.

— Cóż można myśleć? Zbrodniarz jest zbrodniarz.

— To prawda, ale prócz tego, ja mam jeszcze inne swoje kombinacye: mam w głowie takie smutne myśli, że tylko zapłakać.

— Ja się wcale temu nie dziwię, Uszer. Ktoby nie zapłakał, patrząc na taką brzydką, taką nieszczęśliwą przygodę? Kogo serce nie zaboli wobec widoku morderstwa? Co to jest?... Taki Chaskiel idzie za interesami, rozmawia, handluje... Naraz przychodzi chłop, uderza go i zabija. Czy to nie jest straszne? Czy sama wiadomość o podobnem zdarzeniu nie wywołuje dreszczu? Ja przynajmniej, gdym się dowiedział o wypadku, uczułem zimno, bardzo dotkliwe zimno w całych plecach.

— Posłuchajcie, Mojsie — rzekł Uszer — jesteśmy sami, możemy mówić swobodnie. Nie zaszkodzi, jeżeli w umiejętny sposób zaczniemy obrabiać ten wypadek. Najpierw w trzech wyrazach opowiedzmy, co się stało. Niech to Mojsie sformułuje.

— Co tu formułować? Chłop Żyda zabił... Macie trzy wyrazy, najpaskudniejsze w historyi naszego miasta.

— Bardzo pięknie. Zacznijmy temi wyrazami obracać i przesiewać je przez przetak różnych zapytań i komentarzy. Chłop Żyda zabił—dlaczego nie stało się odwrotnie? Dlaczego Żyd chłopa nie zabił?

— Dziwne zapytanie. Dlatego, że Żyd jest człowiek delikatny, nie grubianin, nie ma bydlęcego zdrowia, że jest człowiek handlujący, a nie rozbójnik. Czy wam to wystarcza?

— Owszem, a teraz postawmy takie pytanie: dlaczego chłop Żyda zabił?

— Moja pierwsza odpowiedź, odwrócona do góry podszewką, może być odpowiedzią i na drugie wasze pytanie.

— Bardzo dobrze. Stoimy przy tem, że chłop jest grubianin a Żyd delikatny. Prawda, myśmy też Żydzi, ja i wy — i też delikatni; pytanie — dlaczego chłop, broń Boże, nie zabił was, ani, strzeż Panie, nie zamordował mnie?

— Dlatego, że myśmy nie prowadzili z nim żadnych interesów.

— Wasza odpowiedź jest niezła, ale ma cokolwiek feleru. Nie mówię o sobie, ponieważ mało zajmuję się handlem, ale mówię o was i o wielu innych, którzy prowadzą interesy z chłopami. Dlaczego oni nie są dotychczas zabici?

Mojsie nie odpowiadał.

— No, dlaczego? Odpowiedzcie.

— Ja nie wiem.

— Nie wiecie? Aj, Mojsie, wy wiecie, tylko nie chcecie powiedzieć? Chaskiel jest zabity, gdyż ciągnął z tego chłopa zadużo, gdyż nie dał mu żyć. Chaskiel był zanadto chciwy.

— Co wy mówicie, Uszer? To był spokojny Żydek. On nic nie chciał, oprócz swojego. Żądał mieć swoją własność, swoją pracę.

— Aj, Mojsie, mówmy prawdę. Chłop jest grubianin, ale z niego można mieć dużo. On pozwoli brać, ale jeżeli się bierze zanadto, to on krzyczy, jeżeli jeszcze więcej, to bije.

— Uszer — rzekł Mojsie — wy dziwne rzeczy mówicie. Co to jest zadużo? Każdy chce brać tyle, ile może.

— Zadużo!

— A ile Chaskiel brał? Czy wiecie, czy byliście przy tem?

— Nie, ale domyślam się, że brał bardzo dużo.

— Co mógł brać? Pięćdziesiąt ośmdziesiąt, sto procent, niech sto dwadzieścia! Czy to nie praktykuje się wśród naszych Żydków?

— Chaskiel brał więcej.

— Skąd możecie wiedzieć, że więcej?

— Bo jego ten chłop zabił. Darmo nie zabija się człowieka. Nawet taki cham, grubianin nie podniesie ręki na kogo, jeżeli nie ma do tego powodu. Ten chłop musiał mieć powód.

— Uszer!

— Co chcecie?

— Uszer, wy rzucacie na nas ciężki kamień!

— Prawda, ja go rzucam i płaczę nad nami!

— Nie rozumiem was!

— Stoi w piśmie, że zguba Żydów wyjdzie od Żydów. Mieszkaliśmy między różnemi dzikiemi narodami. Z tych narodów nie pozostało nic, nawet imię, a my jesteśmy. Więc my nie zginiemy od obcych narodów; zginiemy od siebie samych i nasza chciwość nas zgubi. Oto dziś Rokita zabił Chaskla. Kto powie, że się tak stało?

— Każdy powie...

— Nie, Mojsie, nie każdy powie, że chłop zabił Żyda... Rozumiecie wy, co to znaczy? Aj, Mojsie, wy macie małego syna — uczcie go, żeby on nie był zbyt chciwy. Niech nie drze zadużo, bo napisano jest, że zguba Żydów od Żydów idzie, od Żydów wyjdzie. Wy to sobie do głowy weźcie, Mojsie, ja was proszę, a proszę was dlatego, że chciałbym, aby nasze miasteczko kwitło w spokoju, w handlu, nabożności...

Długo Engelman rozprawiał na ten temat, Małka już oddawna spać poszła, sklep zamknięto, a dwaj przyjaciele jeszcze gawędzili.

Dopiero, kiedy zegar wydzwonił północ, filozof czarnobłocki podniósł się z ławy.

— Czas już iść — rzekł do Mojsie.

— Spać?

— Nie, nie mógłbym zasnąć przy takich ciężkich myślach.

— Dobranoc wam, Uszer!

— Dobry rok, Mojsie!

. . . .

Upłynęło kilka lat.

Czarnebłoto jest takie samo, jak dawniej, tylko na kirkucie przybyło kilkanaście nowych słupków, w brudnych izbach znaczna ilość kołysek, a warstwa śmieci proporcyonalnie zgrubiała.

Obliczono, że na sążeń śmieci trzeba trzech dziadków.

Mojsie Fisch, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, ci najpierwsi na całe miasto obywatele żyją w dobrem zdrowiu, tylko postarzeli się cokolwiek. Srebrne nici wplątały się w ich brody, padły na skronie, niby szron zimowy.

To srebro dostaje się ludziom w udziale za wysługę lat; ono wskazuje, że mąż dojrzewa, niby gruszka na drzewie i że, niby gruszka z drzewa, może niebawem spaść na ziemię, aby więcej nie powstać.

Mojsie Fisch twierdzi, że taki srebrny patent dostaje się ludziom darmo dlatego, że za pieniądze niktby wykupić go nie chciał.

Cały kahał uznał, że Mojsie Fisch ma racyę, że powiedział, przypadkiem zapewne, mądre słowo.

Małe bachorki, wyszedłszy z kołysek, wzrastały na pociechę ojców i matek. Abramek Mojsia robił się coraz piękniejszy, głowę miał ostrzyżoną przy samej skórze, a od obu skroni zwieszały mu się na

twarz dwa śliczne, czarne, lśniące, aksamitne pejsy, niby dwie pijawki dobrego gatunku, które już się dobrze krwi nassały i zamierzają lada chwila odpaść.

Mądre to dziecię. Jeszcze dziesięciu lat nie doszło, a już było biegłe w prawie i umiało na pamięć wszystkie przyczyny, dla których mąż może żonie dać rozwód.

Małka pyszniła się swoim synem. Może ze względu na jego zdolności nadzwyczajne, na nabożność Mojsia, na zasługi przodków, dyabeł z Małki wyszedł, jak się zdaje, na zawsze.

Jak się zdaje, bo kto może ręczyć za przyszłość, za kobietę i za dyabła? Spółka rozwiązana chwilowo może znów przyjść do życia.

Tymczasem zerwanie było widoczne.

Małka zaniedbała się zupełnie w elegancyi. Na miejsce Różańskiego, przybył do Zatraceńca dzierżawca, człowiek stary, nudziarz, któremu, jak się zdawało, życie obrzydło.

Do kogo było się stroić? Małka, widząc, że to się nie opłaca, przestała się myć i zaczęła chodzić prostemi drogami, co znać było na jej przydeptanych trzewikach i spódnicy tak zaszarganej uczciwie, że i stara Rypsowa nie mogła się taką pochwalić. Miejsce gorsetów i staników do figury, zastąpił kaftan, bogaty w plamy od oliwy i nafty.

Mojsie był w siódmem niebie; rozkoszował się on myślą, że nareszcie ma naprawdę żonę według serca, bez głupich fanaberyj i bez zalotności dyabelskiej, która uczciwemu mężowi spokój i sen odbiera.

O Rokicie mało kto już wspomina, tylko Żydówki dzieci małe nim straszą.

Wasążek słowa dotrzymał. Za grzechy swoje wielkie poszedł kościołowi służyć, straszliwym basem pieśni nabożne śpiewa, w kościele usługuje, zakrystyanem jest. Żonę sprowadził do siebie, ale

w chałupie jego szwagier siedzi i grunt Wasążka obrabia. Jukiel głowę sobie łamię, w jaki sposób te różne symulacye zwalić, a szlachciura śmieje się tylko.

— Niech biorą — mówi — co chcą, ale niech sobie zębów nałamią, nim ukąszą. Miałem kapusty narobić i narobiłem... niech jedzą!

W Brzozówce dobrze i na Majdanie dobrze. Jadwinia ślicznie wyrosła, trochę spoważniała. Ciotka Gertruda o wyprawie dla niej myśli, bo blizki kuzyn pana Stanisława do Brzozówki zajeżdża i bardzo się Jadwini zaleca.

Borecki gospodaruje i cieszy się wnukiem, psutym, rozpieszczonym przez ciotkę. Malec wygląda, jak bryś, a takie mądre ma oczy, takie mądre, że niesposób opisać.

Dziadowi Błażejowi zmarło się; pochowany jest w Zimnej Woli, na cmentarzu, pod samym parkanem. Pani Zawadzka krzyż na jego mogile kazała postawić.

Jest noc letnia, po niebie płynie pełny księżyc.

W Czarnembłocie przed domem siedzi samotnie Uszer Engelman. Rozmyślał on długo, długo o swojem miasteczku i zaczął modlić się za nie.

— Błogosławione — mówi — imię Tego, który nas umiłował; błogosławione imię Tego, który nas zachował; błogosławione imię Tego, który nam dał dziedzictwo świata.

A potem, cichym szeptem, jakby w obawie, żeby go kto nie usłyszał, dodaje:

— Panie świata! pohamuj chciwość ich! Panie świata! daj im pomiarkowanie i rozum! Panie świata! ukróć żarłoczność ich, aby nie sprawdziły się słowa, że zguba nasza od nas samych wyjdzie.

KONIEC.